Nr. 168. Lwów — Wtorek dnia 25 Lipca. Rok 1899.

Wychodzi w dni powszednie, o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 1 złr. 10 ct.
w Niemczech . . . . 1 „ 50 „
w innych Państwach . 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 1 zł.
Numer kosztuje we Lwowie . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 ct.
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 50 ct. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct.
W drobnych ogłoszeniach tłustym petitem za każde słowo 2 ct.
tłustym garmondem „ „ 3 ct.
koresp. prywatne „ „ 4 ct.
Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 30 ct.
Reklamy po kronice wiersz petit. 50 ct.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 30 ct.

Dziś: św. Jakóba Ap. — Sobor. s. Hawry
Jutro: św. Anny M. Maryi — Akyły Ap.

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o g. 4 m. 31
Zachód „ „ 7 m. 37

Długość dnia godzin 15 m. 6
Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 24 lipca.

W tych dniach odbyły się dwie wbrew odmienne uroczystości: jedna na cześć pokoju, druga na cześć wojny, a na obu w głównych rolach występowali dostojnicy amerykańscy. W Tryeście składano hołdy admirałowi Dewey'owi, pogromcy hiszpańskiej floty pod Cavitą. Z dumą rozprawiano o tem, że co to za honor dla Austyi, co za cześć, iż taki bohater na swym sławnym pancerniku „Olimpia" raczył zawitać na austryackie wody; z rozczuleniem słuchano opowieści Dewey'a o tem, że nigdy w życiu tak ciężko nie cierpiał na morską chorobę, jak właśnie wtedy, gdy niszczył stare, drewniane pudła Hiszpanów. A gdy on jął dobrodusznie żartować z konferencyi pokojowej w Hadze i dowodzić, że wszystkie jej uchwały są tylko poczciwą zabawką, której nie biorą na seryo Stany Zjednoczone, bo one dopiero teraz zaczęły na dobre się zbroić, wówczas i słuchacze, dostrajając się do tonu wielkiego bohatera, dowcipkowali z zabiegów o utrwalenie pokoju. Ze wzruszeniem przyjęto zapewnienie admirała Dewey'a i posła Harrisa, że serdeczną przyjaciółką Stanów jest właśnie ta Austrya, której obywateli niedawno bez żadnej ceremonii wystrzelano w Haxletownie i odmówiono jej za to wszelkiego zadosyćuczynienia. Nie wiemy, jak to się wszystko zgadza z poczuciem własnej godności, z przyjaźnym stosunkiem do Hiszpanii i wreszcie z deklamacyami o wzniosłości idei, rzuconej w świat przez rosyjskiego cesarza. Nie możemy rozwiązać tej zagadki, więc zanotujemy tylko, że tym tłumem, który nastawiał uszy, aby nie uronić ani jednego słowa admirała Dewey'a i posła Harrisa, byli liberałowie, ci sami, którzy zawsze przywłaszczają sobie prawo przemawiania w imieniu ludu, postępu, swobody, pokoju, demokracyi i t. d. Lud zatem, przez usta tych swoich rzeczników, złożył tym razem hołd wojnie i zaborcom.

Zupełnie odmienna uroczystość odbyła się w małej holenderskiej mieścinie Delft pod Rotterdamem. Tam Amerykanie, delegaci na konferencyę pokojową w Hadze, byli wyłącznie między sobą, a ponieważ i scena była inna, niż w Tryeście: nie pokład pancernika, lecz dom, w którym się urodził w XVI stuleciu pierwszy zwolennik wieczystego pokoju Hugo Grotius (de Groot) — przeto mówili zupełnie inaczej, wiedząc zresztą, że wszystko co powiedzą, będzie w dziennikach. Dwa historyczne momenty, datami dość zbliżone do siebie, mianowicie skazanie Grotiusa za jego idee na dożywotnią ciemnicę w zamku Lövenstein (na wiosnę 1620) i wylądowanie pierwszych 120 purytanów w Ameryce północnej, którzy od prześladowań religijnych uciekli z Anglii na żaglowcu „Mayflower" (we wrześniu 1620), złączyli delegaci Stanów Zjednoczonych na konferencyę pokojową z amerykańskiem narodowem świętem „niepodległości" (Independance day) i podczas wspaniałego bankietu sławili wolność religijnego sumienia, wolność wszystkich ludów, powszechne braterstwo i zastąpienie prawa wojen prawem sprawiedliwości. To ostatnie było hołdem, złożonym Grotiusowi po 270 latach, co przypomina, że idea usunięcia wojen jest już tak stara.

Wybitny mąż stanu i opiekun Grotiusa, minister Oldenbarneveldt oddał głowę pod katowski topór, a sam Grotius, autor dzieła „De jure belli et pacis" — pierwszej książki o prawach obywateli, gdy dotąd mieli oni tylko obowiązki względem książąt, — poszedł do ciemnicy na całe życie. Żona jego dała się w dużej skrzyni wnieść do ciemnicy i w niej została, a on zajął jej miejsce w skrzyni, tak wyszedł na świat Boży i umknął do Hamburga, gdzie Polska i Szwecya jednocześnie ofiarowały mu swą gościnność i służbę państwową. On przyjął ofertę szwedzką, odrazu został radzcą stanu i posłem na dwór francuski. Wtedy-to w Holandyi dowiedziano się, że nie on, lecz jego żona siedzi w ciemnicy i uwolniono dzielną niewiastę. Taka jest w kilku słowach biografia pierwszego przeciwnika wojen.

Jest tedy do rozwiązania polityczna szarada: kiedy Amerykanie byli szczerszy: czy w Delft, gdy proklamowali cywilizacyjną solidarność ludów w walce z barbarzyństwem walk orężnych, czy też w Tryeście, gdzie mówili, że Stany Zjednoczone na dobre się zabierają do rozwinięcia swej zbrojności? Nam się zdaje, że w Tryeście byli szczersi, bo Stany nietylko naprawdę tworzą nową a ogromną flotę pancerników, ale i nowe brygady wysyłają na Filipiny, gdzie podobno Tagalowie mocno przetrzebili ich armię.

Brakowało dotąd Polaka w dreyfusyadzie, lecz pod koniec i on się znalazł. Jest to jakiś major Miskowski, który zapewnia, że może dostarczyć dowodów winy eks-kapitana. Dotąd wszakże ogłosił on w *Libre Parole* tylko to, co i bez niego mogło być dawno wiadome i co nie posiada dowodowej wartości, mianowicie ten szczegół, że w lipcu 1897 r. jenerał Brugère powiedział do swych oficerów: „Sekret nowych szrapneli francuskich sprzedał Niemcom Dreyfus zaraz po próbnych ćwiczeniach z tym pociskiem." Oczywiście, to oświadczenie jenerała, niepoparte niczem, nie przedstawia dla sędziów żadnej wartości. Charakteryzuje ono tylko samego jenerała, który widocznie był w r. 1897 antidreyfusistą, a dziś, gdy się prądy zmieniły w sferach rządowych, stał się dreyfusistą i wskutek tego człowiekiem tak godnym zaufania, że został gubernatorem Paryża, aby na tym wybitnym posterunku paraliżował zamiary ministra wojny margrabiego Gallifet, księcia de-Martique, gdyby ten ostatni, jako arystokrata i niegdyś bonapartysta, zechciał w pewnej chwili wykonać zamach stanu. Nieufność powszechna jest znamieniem dzisiejszych stosunków we Francyi. Obarcza ona nietylko p. Gallifet, ale nawet faszodzkiego bohatera Marchanda, który ze swym oddziałem arabskich żuawów, liczącym 180 ludzi, był 14 lipca przedmiotem zachwytów paryskiej publiczności, zgromadzonej na polu marsowem, a w parę dni potem musiał się pożegnać ze swymi Arabami, odesłanymi co prędzej do Afryki, a sam się udać do garnizonu na prowincyi. Wszystko to za to, że podczas rewii ślicznie i wojowniczo wyglądał na karym rumaku — zupełnie jak niegdyś Boulanger — i że ruchem szabli dziękował publiczności za okrzyki: „Niech żyje bohater Faszody!" Zdarzyło się nadto, że po tej rewii uczczono go i jego żołnierzy bankietem w Théâtre du Châtelét — co chwilę wybuchały tam wołania: „Niech żyje Marchand!" — a gdy tak wciąż się podnosiła temperatura uczuć, rzekł podobno któryś wybitny orleanista na ucho swemu przyjacielowi: „Na nic to wszystko, bo ten głupi Marchand nie chce się zgodzić... Czy odwagi mu brak?... Nie rozumiem!" Podsłuchał te wyrazy sylf policyjny — bo gdzież dziś takich sylfów nie ma we Francyi! — i doniósł prefektowi policyi. Rząd tedy zaraz zrozumiał, że orleaniści namawiają Marchanda, aby ze swymi 180-cioma Arabami obalił republikę i na tron wprowadził króla Filipa, więc, aby Marchanda uwolnić od tych kusicieli, wyekspedyował go na prowincyę, Arabów zaś pośpiesznym pociągiem odesłał do Afryki. Jest w tem dużo komizmu, lecz rząd temu nie winien, że dziś w Paryżu nikt nikomu nie ufa. Tak samo było w przeddzień wielkiej rewolucyi.

Do nowego procesu Dreyfusa wplątano także rosyjskiego pełnomocnika wojennego, jenerała Friedricksa. Były minister wojny Mercier, będący teraz pod śledztwem, zeznał, że zaraz po uwięzieniu Dreyfusa w r. 1894 rzekł mu ten pełnomocnik: „Dobrze się stało, że nareszcie wzięliście go pod klucz. To taka gadzina". Zdaniem jenerała Mercier, te słowa barona Friedericksa dowodzą, że i on wiedział o szpiegowskich czynach Dreyfusa. Z tego powodu rząd petersburski podobno chciał odwołać barona, lecz on prosił, by go zostawiono we Francyi do końca sprawy dreyfusowskiej i żeby mu pozwolono, w razie potrzeby, stanąć w roli świadka przed sądem w Rennes, albowiem jenerał Mercier źle go zrozumiał, mianowicie baron dlatego nazwał Dreyfusa gadziną, że on w r. 1890 świadczył przed sądem niekorzystnie o jakimś Władimirowie, sądzonym w Paryżu za zabójstwo młodej kobiety. W aktach ambasady rosyjskiej są dowody, że wówczas Dreyfus postąpił lekkomyślnie. Cała ta historya również nie jest pozbawiona momentów komicznych, bo wszakże trybunał w Rennes zajmie się tylko rewizyą procesu z r. 1894, a nie sprawą jenerała Mercier, lub procesem Władimirowa.

Najkomiczniejszym jednak był wiec nacyonalistów w sali teatru Komedyi francuskiej. Zamiast aktorów popisywał się na scenie Déroulède, nazywając w swej mowie prezydenta republiki i ministrów łotrami i złodziejami. Publiczność odpowiadała mu krzykiem: „Prowadź nas na pałac Elizejski!" A on na to: „Chętnie tam pójdę lecz nie na waszem czele, ale z wami! Precz wszelkie zwierzchnictwo! Niech puszczyki zamieszkają komnaty pałacu Elizejskiego. Lud jest panem!" Znowu zabrzmiały okrzyki: „Prowadź nas! Prowadź!" — a wtedy Déroulède tak rzekł: „Te łotry Waldeck-Rousseau i Gallifet kazali mnie powiedzieć, że jeżeli będę zachowywał się wyzywająco, to będę uwięziony. Wprawdzie pluję na nich, ale ponieważ oni chcą zabić Francyę, a my tylko możemy ją ocalić, więc bądźmy rozważni!" Więc zgromadzenie było tak rozważne, że się zaraz spokojnie rozeszło.

Niezaprzeczenie komizmu w tem dużo. Lecz od śmiesznego do wielkiego zaledwo krok. Może trafnie spogląda w przyszłość akademik Lemaître, gdy mówi w *Echo de Paris*, że „nadmiar obrzydzenia" do republiki niebawem podniesie na nią cały naród i odbędzie się pierwsza rewolucya zupełnie niekrwawa, tylko cuchnący kanał, jakim stała się republika, będzie zasypany.

Zaprzeczono wiadomości, jakoby szwedzki i norweski król Oskar pisał list do cesarza Wilhelma, wyrażając swą radość z powodu, że na skandynawskich wodach cesarz odwiedził francuski okręt „Iphigénie". Natomiast zapowiedziano spotkanie się Wilhelma II z królem Oskarem i szwedzkim następcą tronu na polowaniu u któregoś skandynawskiego magnata, a na 6 sierpnia cesarz niemiecki już wróci do domu i uda się do Darmstadtu, gdzie odbędzie się jego zjazd z rosyjskim cesarzem, który przybędzie tam z żoną i dziećmi.

Z Warszawy.

Pełen ważnych informacyi otrzymał *Czas* list z Warszawy. Oto co w nim czytamy: Nareszcie nadeszła decyzya w sprawie wykładu nauki języka polskiego w szkołach średnich i od początku przyszłego roku szkolnego język polski we wszystkich klasach gimnazyów i progimnazyów w Królestwie będzie wykładany po polsku. Tak prosta rzecz, że nauka języka polskiego ma się odbywać dla uczenia polskich dzieci polskiej gramatyki i pisowni nie po rosyjsku, ale po polsku — natrafiała na ogromne przeszkody i trudności. Właściwie rzecz sama zadecydowaną już była dawno, jeszcze na początku tego roku na komitecie rady ministrów i na mocy decyzyi cesarza podczas pierwszego pobytu ks. Imeretyńskiego w Petersburgu w styczniu br. Ale w Rosyi dzisiaj tak jest, że są dwa prądy, które walczą ze sobą od góry do dołu, zwłaszcza w pewnych kołach biurokracyi, i co jeden prąd chce przeprowadzić w kierunku cywilizacyi i sprawiedliwości, drugi chce napewno to zniszczyć. Otóż dlatego, że uznaną została zasada, że języka polskiego przynajmniej na równi z obcymi językami należy uczyć w gimnazyach, zaraz przeciwne i skrajne żywioły wytężyły wszelkie starania, aby rzecz udaremnić lub jak najbardziej ograniczyć i przeforsować postanowienia, żeby polskiego języka uczyć w szkołach literalnie, jako obcego np. jak angielskiego lub francuskiego. Dla nauki obcych języków istnieje bowiem przepis, że póki uczniowie nie nabędą znajomości języka i gramatyki, wykład języka ma się odbywać po rosyjsku, a kiedy już nabiorą pewnej biegłości we władaniu obcym językiem, w tym samym języku. Ztąd języki obce nauczane były w niższem gimnazyum po rosyjsku; a w wyższych klasach odbywała się nauka w danym języku. Postanowienie naturalne, gdy chodzi o wykład zupełnie obcego języka, jak niemiecki, francuski, angielski, którego dzieci szkolne nie rozumieją i którego się dopiero uczyć muszą, postanowienie takie byłoby przecież monstrualne, gdyby miało się odnosić do nauki własnego, ojczystego języka, którego gramatyki, pisowni i składni musiałyby się dzieci uczyć w cudzym języku. A jednakowoż potrzeba było kilku miesięcy starania, aby ostateczna decyzya wypadła pomyślnie. Jest to zasługa ks. Imeretyńskiego, który jak zawsze, tak i w tej sprawie okazał, że ma wyższe cywilizacyjne pojęcie o zadaniach władzy państwowej i sposobie sprawowania rządów w Królestwie Polskiem — i zasługa kuratora okręgu naukowego p. Ligina, który choć jest na wskróś patryotą rosyjskim, jest człowiekiem prawdziwie rozumnym, bardzo wykształconym, mającym europejskie poglądy na sprawy wychowania i wykształcenia młodzieży.

Jego to zasługą jest, że system dokuczliwości i znęcania się nad dziećmi polskiemi, który się rozwielmożnił za Apuchtina i zdemoralizował po części stan nauczycielski, system, który kazał nierówną miarą cenić uczniów rosyjskich i polskich, jednym na wszystko pozwalać, a drugim wszystko utrudniać, ograniczać ich przyjmowanie do szkół, szykanować, za byle co karać i wydalać, szerzyć przygnębienie i ducha opozycyi w umysłach młodocianych, odbierać im wiarę i religię, a nawet niejednokrotnie za pomocą szkoły szerzyć demoralizacyę, czego przykładów mnóstwo w ostatnich latach mogłyby dostarczyć różne instytuty wychowawcze męskie, a zwłaszcza żeńskie w Warszawie i w całym kraju, — system ten teraz należy już do przeszłości. O ile chodzi o ucisk, szykany i znęcanie się nad dziećmi polskiemi, to system ten kwitnie obecnie już tylko w Prusiech, a każdy szlachetniejszy rosyjski nauczyciel wzdryga się na postępowanie kulturtragerów pruskich i widzi w tem postęp, że podobne rzeczy nie mają już miejsca w Królestwie Polskiem. Trudność jest wielka w tem, że choć z góry wieje kierunek lepszy, bardziej ludzki, sprawiedliwy i cywilizacyjny, materyał ludzi bardzo wiele, nadto wiele pozostawia do życzenia. Są jednostki porządne i lepsze, ogół jednak ma mało wykształcenia, a przywyknienia dawnego systemu obniżyły poziom charakterów. W każdym razie bardzo ważnem jest to, że zniknęła ta rachuba, że im kto będzie gorszy, tem łatwiej zrobi karyerę.

W ogólnym rezultacie wprowadzenie polskiego wykładu języka polskiego do szkoły będzie miało swe zasadnicze znaczenie dla obopólnych stosunków. Całe społeczeństwo, wszyscy rodzice i dzieci nawet z najszerszych i najuboższych warstw, odczuwają najbardziej drażliwie i boleśnie prześladowanie języka w szkole i prześladowanie religii. Wykład języka polskiego i gramatyki polskiej po rosyjsku był taką dokuczliwością z jednej strony okropnie bolesną, a z drugiej wprost śmieszną. Kiedy ona ustanie, ustanie także i rozgoryczenie, tak samo jak zmiana na lepsze w stosunkach religijnych, złagodzenie w postępowaniu rządu wobec Kościoła i duchowieństwa, bardzo korzystnie oddziałało na całe społeczeństwo. W taki sposób może w społeczeństwie zniknąć niechęć i animozya, którą wywołuje przedewszystkiem ucisk i prześladowanie. Na odwrót zaś wprowadzenie wykładu języka polskiego do szkoły może być ważnem przez to, że do niedawna pewien prąd w biurokracyi rosyjskiej chciał koniecznie upatrywać we wszystkiem, co polskie, coś wrogiego i niebezpiecznego dla państwa rosyjskiego. Jeśli się przypomni, ile dzieci karano i wypędzano za odezwanie się po polsku, jakie w tem upatrywano wielkie przestępstwo przeciw całości i bezpieczeństwu państwa, to wykład polski w tych samych murach szkolnych jest przecież choćby drobnem uznaniem uprawnienia tego języka. Z czasem nawet może w najwięcej niechętnych dotąd kołach przekonają się, że państwo na tem nic nie traci, ale zyskuje.

Zapewne pragnęlibyście, abym wam więcej dał wiadomości o zmianach na lepsze. Tego uczynić nie mogę, bo zmiany w systemie niema wcale, jest tylko zmiana w jego wykonaniu. Niema tego obucha i grozy, które ciężyły dawniej ciągle nad całem społeczeństwem i zatruwały życie, a zapędzały młodzież całą w objęcia radykalizmu i najskrajniejszej opozycyi. Niema też tych ciągłych wielkich i małych krzywd i szykan, na które narażoną była każda jednostka w sprawach sądowych, administracyjnych, skarbowych i w jakichkolwiek stosunkach z władzą, na które narażonym się było dawniej tylko z tego powodu, że się jest Polakiem. Niczego nie można było przewidzieć, każda najlepsza sprawa mogła wziąć najgorszy obrót, niczego nie można było być pewnym w stosunkach ekonomicznych, albo nawet gospodarczych, chyba jeśli ktoś miał wyjątkowe protekcye, albo był bardzo zręcznym lub hojnym w podarunkach. To wyrabiało dziwną kategoryę macherów i krętaczy wśród ludzi, a brak sprawiedliwości, najkompletniejsza dowolność w stosowaniu przepisów, osłabiały poczucie prawne, demoralizowały społeczeństwo; wreszcie brak zaufania i pewności w interesach utrudniał rozwój stosunków ekonomicznych. To też ten szalony impuls w przemyśle, powstawanie mnóstwa nowych fabryk i ciągłe zawiązywanie coraz to nowych spółek dla nowych przedsiębiorstw przemysłowych, jakoteż ten ogromny wzrost miasta Warszawy i różnych innych miast prowincyonalnych, jakie widzimy w ostatnich latach, pochodzi nietylko z otwarcia kolei syberyjskiej, ale i stąd, że ludzie nabrali więcej pewności, zaufania i wiary w jakie takie unormowanie stosunków, że z chwilą, kiedy obuch, przygniatający wszystko, przestał tak ciężyć na umysłach, znalazła się ruchliwość, energia i zapał do ekonomicznej pracy wytwórczej. Jeśli dawniej po większej części tylko Niemcy i żydzi zajmowali się przemysłem, dziś można powiedzieć, że wszystkie sfery społeczeństwa garną się do przemysłu i że jest on już teraz przeważnie w polskiem ręku.

Ażeby nam było lepiej, ażeby się system zmienił, potrzeba dwóch rzeczy: rozumnej pracy i czasu. Zapewne, że byłoby lepiej, ażeby rząd sam to uznał i jak najprędzej wprowadził zmiany w duchu sprawiedliwości i cywilizacyi. Na to potrzebaby, ażeby na cze-

---

9)

SONIA KOWALEWSKA

przez

KAROLINĘ LEFFLER

Przekład Anastazyi Świderskiej.

(Ciąg dalszy).

Helena Pawłówna i Angielka były całkiem do siebie niepodobne, wprost przeciwne sobie natury, to też sympatyzować ze sobą w żaden sposób nie mogły. Moja matka należała do osób, które się nigdy nie starzeją tak z usposobienia, jak i z powierzchowności. Pochodziła z niemieckiej rodziny von Sch. oddawna w Rosyi osiedlonej. Dziad jej znany był i ceniony świecie naukowym. Ojciec jako przełożony w akademii wojskowej otwarty miał wstęp do najwyższej arystokracyi między wojskowymi i uczonymi. W salonach zgromadzało się wszystko, co tylko Petersburg zawierał w sobie najwybitniejszego. Utraciwszy młodo bardzo żonę powierzył rządy domu kilku niezamężnym swym siostrom, które stale u niego mieszkały. Z tego powodu Helena Pawłówna, córka jego do praktycznego życia nie nawykła, odebrała staranniejsze wychowanie niż inne ówczesne panny w Rosyi: grała biegle na fortepianie, śpiewała, mówiła poprawnie kilkoma obcymi językami, francuską i niemiecką literaturę znała dokładnie. Miała na wskróś artystyczną naturę. W żadnym jednak kierunku nie doszła do względnej doskonałości, to też na nikim w rodzinie wpływu nie wywarła. Zdawało się, że nie z upodobania kształci się w swoich talentach, lecz jedynie aby drugim przyjemność sprawić. W domu rodzicielskim przestawała Helena Pawłówna wyłącznie prawie ze starszymi, poważnymi ludźmi, których rozweselało i cieszyło towarzystwo młodej, ładnej, utalentowanej panienki. Helena Pawłówna przywykła od najpierszej młodości jaśnieć jak świeży woniejący kwiat odbijający jaskrawo na tle starszych uczonych mężów, dla których była zawsze „naszem dzieckiem".

Dlatego też mąż jej Iwan Siergiejewicz obchodził się z nią aż do jej późniejszego wieku jak z dzieckiem, był też od niej znacznie starszy. Nazywał ją zawsze: Lena albo Lenoczka ona zaś męża nigdy inaczej jak Iwan Siergiejewicz. Zdarzało się nawet, że ją w obec dzieci strofował:

— Pleciesz od rzeczy Lenoczku! — co ją bynajmniej nie zrażało, upierała się owszem przy swojem zdaniu, jak jakie uparte zepsute dziecko, któremu przysługa prawo odbierania pochwał za najniedorzeczniejsze pomysły.

Gdyby Helena Pawłówna weszła była w jaką poważną, patryarchalną, niemiecką rodzinę byłaby się bez wątpienia wyrobiła na przykładną, wzorową matkę i panią domu, ale jako żona Iwana Siergiejewicza nie mogła łatwo nabyć zalet niezbędnych w tym zawodzie. Mąż jej był wdowcem żeniąc się z nią, a choć nie miał dzieci z pierwszego małżeństwa cały zarząd domu pozostał ten sam. Służba składała się z dawno już zasłużonych poddanych którzy nabyli prawo do samowładnych rządów. Młoda pani z miękkiem, łagodnem usposobieniem, nikomu zaimponować nie potrafiła. Służba korzystając z tego, zawarła potajemny związek w celu ograniczenia władzy młodej pani o ile tylko możebnem było, zostawiając jej wolność rządzenia salonem według upodobania, w przekonaniu, że to dla jej drobnych rączek ciężar dostateczny. W pierwszych latach próbowała Helena Pawłówna wyswobodzić się z tego jarzma ale wszelkie jej usiłowania napotykały na silny, choć pełen uszanowania opór. Każdy jej rozkaz był niby źle zrozumiany i wprost przeciwnie wykonany, w skutkach niekorzystny, tak że biednej pani nie pozostawało nic innego, jak uznać się nieudolną i usunąć się pokornie od wszystkiego. Każde jej usiłowanie aby zdobyć sobie pozycyę pani domu na tem się kończyło, że się władza służby coraz silniej utwierdzała.

Nauczycielki swoich córek bała się Helena Pawłówna, gdyż chciwa władzy Angielka nieraz ją swojem cierpkiem obejściem zraziła. Uważała się za samowładną panią dziecinnych pokoi, a matkę naszą za przypadkowego gościa. To też Helena Pawłówna rzadko bardzo do nas wchodziła i nie odważyła się nigdy zapytać o nasze nauki i o nasze wychowanie.

Ja osobiście ubóstwiałam moją matkę jako uroczą i najpiękniejszą z kobiet, chociaż się do niej nigdy zbliżyć nie śmiałam. Ach! czemuż mnie ona mniej, niż resztę rodzeństwa kocha!

Już wieczór, siedzę w szkolnej sali, wypracowania na dzień następny skończone, mimo to nauczycielka nie pozwala mi pod różnymi pozorami pobiegnąć na górę do rodzeństwa. Z wielkiej sali nad naszą szkolną słychać muzykę. Helena Pawłówna grywa zwykle wieczorami, siedzi przy fortepianie godziny całe, improwizuje, fantazyuje, przechodzi z jednego tematu w drugi. Jest na wskróś muzykalna, uderzenie ma dziwnie łagodne i miłe, słucham zawsze jej muzyki z rozkoszą. Pod wpływem tej muzyki, a może i utrudzenia pracą szkolną ogarnia mnie jakaś rzewność, jakaś nieokreślona tkliwość, pragnienie przytulenia się do ukochanej osoby, upieszczenia jej. Już nadszedł czas herbaty, uwalnia mnie wreszcie nauczycielka. Biegnę szybko, jak tylko mogę, po schodach, wpadam do sali i cóż widzę? Helena Pawłówna siedzi na sofie między Aniutą i Fediem, przytuleni do siebie śmieją się i rozmawiają z takiem zajęciem, że mnie wchodzącej wcale nie widzą. Stoję cichutko, sądząc, że mnie wreszcie spostrzegą, ale nie — rozmawiają dalej, nie zwracając na mnie uwagi. Ten widok studzi gorące moje serce. „Oni się cieszą, radują, nie myślą nawet o mnie", — mówi coś w głębi mej duszy. Ogarnia mnie uczucie gorzkiej zazdrości i zamiast pobiegnąć ku matce i jej piękne, białe ręce ucałować, jak to zamierzałam uczynić, kryję się w kącik zdala od wszystkich z zachmurzoną twarzą, póki się cała rodzina do herbaty nie zgromadzi, poczem wkrótce udaję się według nakazu do mojej sypialni.

Pewność, że mnie wszyscy w domu mniej daleko kochają niż moje rodzeństwo, wycisnęła w mojem sercu wielką boleść, tem większą, że od najmłodszych lat pragnęłam gorącej, wyłącznej dla siebie miłości. To też najmniejsza oznaka czulszej przychylności, czy od krewnych, czy od obcych nawet, pociągała mnie, lgnęłam do tych osób całą siłą mej duszy. Do dwóch zwłaszcza osób przywiązałam się silnie w mojem dzieciństwie; do jednego z braci mojego ojca i do jedynego brata mojej matki. Pierwszy Piotr Siergiejewicz Prajewski starszy od mojego ojca, słusznego był wzrostu, imponującej postawy, silnie zbudowany z dużą głową, krętymi białemi włosami pokrytą, o klasycznym profilu, silnemi, zrośniętemi na czole, brwiami. Groźną tę powierzchowność łagodziły oczy tak dobre i łagodne, że chyba u dzieci podobne spotkać można. Ludzie się na nim nie poznali, wartości jego ocenić nie umieli. Pomimo że najstarszy w rodzinie, pomijano go wszędzie i zawsze, przy każdej sposobności a wreszcie uznano za niedołęgę i wielkiego oryginała. Od kilku już lat był wdowcem; cały, dość znaczny majątek oddał jedynemu swemu synowi, pozozostawiwszy sobie skromny, roczny dochód. Nie mając żadnego zajęcia, tygodnie całe przebywał w Palidino u swego brata. Każdy jego przyjazd sprawiał nam dzieciom wielką radość, a cały czas jego u nas pobytu zbiegał szybko i wesoło. Lubił wygody, niechętnie się poruszał, spędzał dnie całe w bibliotece na czytaniu „Revue des deux Mondes", którą nad wszystkie inne dzieła przekładał. Czytać i czytać bez przerwy, to była jego namiętność. Polityką zajmował się bardzo gorąco. Dzienniki które raz w tydzień odbierano, chciwie pochłaniał a potem nad temiż bez przerwy rozmyślał i rozprawiał. Mówił naprzykład: „Jakich też łotrostw dopuści się jeszcze ten szubrawiec Napoleon". W ostatnich latach swego życia łamał sobie głowę nad Bismarkiem, utrzymywał stanowczo że Napoleon da sobie z nim radę. Nie doczekał 1870 roku, mógł przeto tę pewność wziąć z sobą do grobu. Przy każdej dyskusyi politycznej stawał się krwiożerczym. Wyrznąć sto tysięcy żołnierzy było dla niego bagatelką. Z takąż samą srogością wydawał wyroki na przestępców. Każdy w jego oczach był potworem, a pomimo to wszystkich ludzi miał za dobrych i uczciwych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

le rządu stali prawdziwie wyżsi ludzie, którzyby zrozumieli, że to leży właśnie w interesie państwa. Ale widzimy, że takich ludzi niestety niema, lub się z takim szerszym i głębszym poglądem nie odzywają, a że ci, którzy nam trochę życzliwości i bardziej ludzkich uczuć okazują, mają do walczenia z wielu przeciwnikami. Zatem musimy przedewszystkiem dbać o to, co do nas należy i co sami robić możemy. Niewątpliwą rzeczą jest, że postępowaniem naszem możemy położenie nasze poprawić, a pogorszyć przez to, że każdą nieroztropną rzeczą dajemy tylko broń do ręki przeciwnikom i wzmacniamy stanowisko i wpływy nieprzejednanych czynowników, które w Petersburgu w decydujących sferach i na opinię publiczną w Rosyi starają się zawsze działać w ten sposób, aby nas w jak najczarniejszych barwach przedstawiać jako wrogi i niebezpieczny element dla państwa, któremu robić nie można żadnych ulg, ani koncesyi. Czas zaś jest potrzebny dlatego, aby opinia publiczna w Rosyi, przyzwyczaiwszy się do możności zmian na lepsze — zmieniła swoje wobec nas uprzedzenia i pojęcia.

Całe pokolenie wychowano w poczuciu nienawiści do Polaków, a przytem najbardziej skrajne żywioły w Rosyi sztucznie wywoływały szowinizm narodowy pod postacią nienawiści do wszystkiego, co nie rosyjskie w Rosyi, a w pierwszym rzędzie do Polaków. Stało się to niejako sztuką rządzenia, aby odwrócić uwagę umysłów od wszelkich wewnętrznych spraw państwowych i społecznych i zaprzątać myśli, a zwłaszcza namiętności, widmem niebezpieczeństwa polonizmu. W ten sposób starano się uniknąć wewnętrznego fermentu i wyrzucić go do prowincyj polskich, albo też przelicytować w aspiracyach gorętsze, żywsze i niespokojne żywioły. W ten sposób może rząd postępować lat kilka albo kilkanaście, ale nareszcie przychodzi kres — niebezpieczny, bo jak się zaczyna licytacya, to radykał przelicytuje zawsze a kiedy się gra na namiętnościach i szowinizmie, to bądź co bądź w rezultacie szerzy się zawsze radykalizm, co znowu dla monarchicznego rządu nie może być pożądanem. Stosowano w tej sztuce rządzenia, której inicyatorami byli Katkow i Pobiedonoscew, tę samą metodę, w sprawach wewnętrznych Rosyi, którą Bismark zastosował do jej zewnętrznej polityki. Umiał on tak przebiegle grać na strunie namiętności rosyjskich w sprawie polskiej ludności, tak drażnić widmem polskich niebezpieczeństw, że długi czas rosyjska polityka zewnętrzna prowadzoną była na pasku pruskiej polityki. Ale ostatecznie wiecznie tak trwać nie mogło i przekonano się, może zbyt późno, że inne niebezpieczeństwa są znacznie większe. Dzisiaj w opinii publicznej w Rosyi, w dziennikarstwie, z wyjątkiem właśnie kilku szowinistycznych i nieprzejednanych gazet, niema już tego ciągłego szczucia i ataków na Polaków jak dawniej. Trzeba mieć nadzieję, że powoli uprzedzenia ustaną i że w rządzie samym zwycięży przekonanie, że nie może być interesem monarchicznej władzy, opieranie rządów na szowinizmie i namiętnościach z jednej, a zapędzanie całej masy ludności, rozgoryczonej i zniechęconej, w objęcia elementów radykalnych i przewrotowych z drugiej strony — i że bądź co bądź sprawiedliwość jest najlepszą i najpewniejszą, na bliższą i na dalszą metę, sztuką rządzenia.

Korespondencye.

Rzym, 18 lipca.

Zatarg gabinetu z parlamentem, a raczej z jego mniejszością radykalną skończył się jak wiadomo dotkliwą porażką niesfornych posłów. Generał Pelloux postąpił sobie z wojskową energią; gdy się przekonał, że obstrukcya nie dopuści do przyjęcia przez Izbę ustawy przeciw prasie i stowarzyszeniom, ani też nie zgodzi się na zmianę regulaminu, którąby zapewniała w praktyce panowanie zasady większości, zamknął sesyę parlamentu, a nieprzyjętą ustawę ogłosił za pomocą dekretu królewskiego. Posłowie radykalni usiłowali pobudzić lud do rozruchów ulicznych, ale i ten środek zawiódł, gdyż zeszłoroczne wypadki nauczyły ludność, że za wybryki ciężko trzeba odpokutować. Szukają tedy radykali nowych sposobów i nowych sprzymierzeńców i postanowili wciągnąć stronnictwo katolickie do sojuszu przeciw rządowi. Znany jenerał Ricciotti Garibaldi ma rozpocząć niebawem pertraktacye w tej sprawie, jak zapewnia w *Mattino* szwagier Garibaldi'ego, jen. Canzio. Rozumie się, że z pomysłu tego nic nie będzie. Katolicy są niezadowoleni, ale własny interes nie pozwala im popierać stronnictwa, które dąży do przewrotu i ustanowienia republiki. Jeżeli Kościół nie ma swobody w monarchicznych Włoszech, to miałby jej jeszcze mniej w republice opanowanej przez radykalistów.

W ostatnich czasach dwa polskie nazwiska stały się głośnemi na polu pracy misyonarskiej: hr. Teresy Ledóchowskiej, bliskiej krewnej kardynała, która się całkowicie poświęciła wspieraniu misyi katolickich między murzynami w Afryce i z niezwykłą energią na tem polu działa zagranicą, i ks. arcybiskupa Władysława Zaleskiego. Ks. Zaleski jest na drodze do najwyższych kościelnych godności. Pochodzi on z możnej żmudzkiej rodziny i urodził się w r. 1852 z rodziców: Zenona, prezesa sądu ziemskiego i Gabryeli z Dąbrowiczów Zaleskich. Rodzinę jego, herbu Lubicz, odróżnić należy od innych tego samego nazwiska, ale innego herbu. Zmarła jego siostra była zamężną za hr. Stanisławem Kazimierzem Kossakowskim, ordynatem z Wojtkuszek, znanym heraldykiem. Pozostał po niej tom poezyi, po jej śmierci drukiem ogłoszonych.

Odebrawszy staranne bardzo wychowanie, wstąpił Władysław Zaleski w dojrzałym wieku, bo lat 30 licząc, do seminaryum warszawskiego, aby się poświęcić stanowi duchownemu, a ukończył nauki teologiczne w Rzymie, gdzie sobie zjednał wielką życzliwość kardynała Ledóchowskiego. Wyświęcony na kapłana, używany był w rozmaitych dyplomatycznych misyach: w Londynie, w Indyach i przy nuncyaturze paryskiej; aż mu Stolica apostolska powierzyła ważną misyę delegata swojego przy episkopacie katolickim w Indyach wschodnich, z poleceniem, aby zorganizował seminaryum dla duchowieństwa z krajowców, bez którego o większych postępach wiary katolickiej w olbrzymiem państwie indo-brytyjskiem mowy być nie może, gdyż misyonarze europejscy nie wytrzymują zabójczego dla mieszkańców stref chłodniejszych klimatu i nie potrafią, jako obcy, tak dobrze wnikać w ducha ludności miejscowej, jak krajowcy. Z posłannictwem do Indyj otrzymał ks. Zaleski godność tytularnego arcybiskupa i tę samą siedzibę in partibus infidelium w Tebach, której tytularnym był ks. Ledóchowski, zanim z Brukseli przybył do Poznania. Ks. Zaleski od lat kilku z całą energią i zamiłowaniem pracuje nad ziszczeniem misyi, od Papieża mu poruczonej.

Czytelnikom *Misyj katolickich* krakowskich znane są jego nadzwyczaj zajmujące korespondencye ozdobione mnóstwem oryginalnych nader cennych fotografii. Ostatnią pracą ks. arcybiskupa Zaleskiego umieszczoną w *Misyach*, był „Opis podróży na wyspę Jawę“, gdzie delegat papieski do Urszulanek w Batawii spotkał mniszkę, wychowaną we Lwowie.

Obecnie podobno przeznaczony jest ks. Zaleski na delegata u Stanów Zjednoczonych kanadyjskich (dominion of Canada), które pozostają pod zwierzchnictwem Wielkiej Brytanii, ale się rządzą samodzielnie i mają własny parlament i ministrów.

Przed rokiem rząd pomiędzy wielu pięknemi projektami nosił się z myślą osuszenia bagien pontyńskich i niziny Piscinara, które są siedliskiem malaryi. Osuszenie tych bagien nietylko uwolniłoby Rzym od niebezpiecznego sąsiedztwa, lecz pozwoliłoby również na uprawę 50.000 hektarów ziemi, która obecnie nie przynosi żadnych dochodów. Rząd, jak zwykle, zadowolnił się dobremi chęciami i bagna pozostałyby bagnami, gdyby nie... Niemcy. Niejaki von Donat podał do ministerstwa prośbę z wnioskiem o wydzierżawienie mu tych obszarów na 70 lat, w zamian zaś przyrzeka zamienić je własnym kosztem 20 milionów lirów na ziemię uprawną, płacić tytułem dzierżawy 30 proc. czystego zysku i osiedlić na osuszonych bagnach 12 tysięcy rodzin. Prócz tego przez melioracye na nieuprawnych obecnie gruntach, przylegających do bagien, mogłoby znaleść utrzymanie około 5.000 rodzin. Pisma opozycyjne protestują stanowczo przeciwko przyjęciu projektu Donata i obliczają, że sprytny Niemiec zarobi na tym interesie w przeciągu 70 lat około miliarda lirów. Do opozycyi przyłączyli się również właściciele bagien pontyńskich, nie chcąc pozwolić na osiedlenie się Niemca, który niewątpliwie ściągnąłby za sobą tysiące innych Niemców.

Właściciele ci, to przeważnie wielcy magnaci, którym nie chodzi o kilka tysięcy lirów rocznego dochodu. Gdyby państwo podjęło się przeprowadzenia melioracyi zgodzonoby się na nią chętnie. Ale państwo nie ma na takie cele pieniędzy. Wprawdzie kasa państwowa rozporządza pokaźnemi sumami — dochody w roku bieżącym obliczono na blisko 1.400 milionów — ale z sumy tej połowa idzie na utrzymanie wojska, a reszta na administracyę i przeprowadzenie rozmaitych projektów wątpliwej wartości! Jednym z takich projektów jest zamienienie Rzymu na port morski. Kosztowałoby to olbrzymie sumy, ale zwolennicy tego pomysłu twierdzą, że bezpośredni związek Rzymu z morzem wpłynąłby ogromnie na rozwój handlu. Być może; nie wiadomo tylko, czy zyski odpowiadałyby kosztom budowy kanału. Zresztą niedoczekamy się pewno urzeczywistnienia tego pomysłu.

Inny projekt dotyczy urządzenia na początku przyszłego wieku wielkiej wystawy międzynarodowej w Rzymie. Ma ona otworzyć zagranicy oczy na rozwój przemysłowy Włoch. Nieszczęście tylko w tem, że urządzenie takiej wystawy kosztuje bardzo wiele, a w dodatku nie bardzoby zmieniło sąd zagranicy o stosunkach włoskich, bo obok świetnej wystawy tem więcej jeszcze rzucałaby się w oczy wyglądająca zewsząd nędza ludu. Zresztą wystarczyłaby zupełnie wystawa krajowa, znacznie mniej kosztowna, a tak samo skuteczna. Gości i ciekawych w każdym razie nie zabraknie.

Według obliczeń towarzystw kolejowych, liczba osób, zwiedzających rocznie Włochy, jest olbrzymia. Przebywają one w kraju łącznie 12 milionów 677 tysięcy i kilkaset dni. Licząc na osoby jeżdżące I klasą tylko 25, drugą klasą 15, a trzecią 10 lirów dziennego wydatku, otrzymujemy za rok 1897 sumę 278 milionów lirów. Oprócz tego przybyło w roku 1897 przeszło 40.000 osób morzem, a wydatki ich oszacowano na 19 milionów. Razem więc goście zagraniczni pozostawiają rocznie we Włoszech prawie 300 milionów lirów. Żaden kraj na świecie nie ciągnie tak olbrzymich zysków z cudzoziemców, jak Włochy, to też w żadnym kraju nie jest tak wszystko dobrze przygotowane, żeby tym cudzoziemcom wygodnie i tanio urządzić życie.

W kwestyi żydowskiej.

Z tarnowskiego.

II.

Dziwnym jest to zbiegiem okoliczności, iż równocześnie z uwagami mojemi w kwestyi żydowskiej mam do zaznaczenia fakt powstania dwóch przedsiębiorstw fabrycznych z udziałem w nich żydów, za którymi w artykule pierwszym przemawiałem. Widoczna stąd, iż zapatrywania przezemnie głoszone znachodzą swe potwierdzenie w obywatelskich kołach naszych, a gdy — jak Francuz mówi — pierwszy krok tylko kosztuje, mam uzasadnioną nadzieję, iż gdy się przekonamy, jak bardzo mogą być użyteczni i będą niemi w zarządzie przedsiębiorstw fabrycznych ci ludzie, fabryki szybko w kraju powstawać zaczną — a wówczas i banki nasze część swych kapitałów więcej w przemyśle fabrycznym jak w eskoncie wekslowym lokować będą. Jeżeli bowiem pod hasłem przemysłu krajowego nikogo wykluczać, raczej wszystkich przyciągać będziemy, to ruszą się kapitały swojskie i obce, bo będą przyciągane zaufaniem do ludzi stojących u steru powstać mających zakładów fabrycznych. Im prędzej i stanowczej zwrot ten zrobimy, tem prędzej doczekamy się owoców. Jeżeli jest mowa o przemyśle fabrycznym w Galicyi, my sami go nie stworzymy, bo jesteśmy na to za biedni i wcale w obrotach handlowych nie wyrobieni. Z tych samych powodów nie stworzy go nasz Wydział krajowy, co zresztą nie jest jego zadaniem. Stworzyć go mogą tylko ci ludzie, którzy i sami są dość zamożni, handlowo wykształceni i którzy mają obszerne i bardzo ścisłe stosunki ze sferami kapitalistycznemi zagranicy.

Zarzucić kto może:— Ależ jeżeli Galicya jest tak bardzo dla wielkiego przemysłu fabrycznego podatnym krajem, toż on powstanie bez nas i pomimo nas, siłą interesu i korzyści jakie przedstawia. Wszakże do Chin i Afryki idą z Europy setki milionów, dlaczegoż nie idą do nierównie bliższej im Galicyi? Prawda to, ale rzeczy ludzkie trzeba po ludzku sądzić, a więc brać w rachunek moment etyczny, jaki w tym wypadku gra rolę. Jeżeli się kogoś odpycha, moralnie postponuje, a nie zapominajmy, że jesteśmy w tym kraju wielką większością, boć nas tu ośm razy więcej jak żydów — to cóż dziwnego, że ci poniewierani i poniekąd towarzysko bojkotowani, zamykają się w sobie, że wspólnej z nami pracy nie szukają i żadną miarą zróść i zlać się nie mogą ze społeczeństwem, im tak niechętnie, nieżyczliwie usposobionem, rzecby można nieprzyjaznem?

Zżydzenia się nie obawiajmy się, bo po pierwsze jest nas ośm razy więcej, powtóre posiadamy taką jakąś dziwną, niczem nie wytłómaczoną, lecz istotnie ciągle działającą i nieustającą siłę asymilacyjną, że nie oni nas zżydzą, lecz my ich spolszczymy. Żydzi zaś spolszczeni to pozyskana ogromna siła, wcale nie do lekceważenia w naszych stosunkach krajowych, zwłaszcza wobec Rusinów, coraz silniej manifestujących swe tendencye odśrodkowe, a więc naszej narodowości wrogie.

Jeżeli nam idzie o rozwój naszej narodowości, o stworzenie w kraju przemysłu bogatego, to musimy zużytkować ten czynnik. Patrzmy na Węgry — czyby one były w takim rozkwicie ekonomicznym i w takiej sile politycznej, gdyby nie były przyciągnęły żydów do siebie i niejako ich nie zaasymilowały? Wszakże one tylko przez nich stały się organizmem państwowym — bez nich nicby nie znaczyły.

Żyd węgierski przyjął język węgierski jako swój i przez to zlał się niejako z narodową przeszłością węgierską i tem samem stworzył teraźniejszość tak silną, że nietylko my w Austryi dziś się z Węgrami liczyć musimy i to jak jeszcze, ale że dziś znaczą i ważą Węgrzy w ustroju politycznym Europy, ci Węgrzy, których mało co więcej jest jak cztery miliony, mający u góry i u dołu Słowian dwa razy tyle, a więc wśród nich niejako zatopieni. Ale sfery *kat'exochen* węgierskie zrozumiały, jaką siłę im i idei państwowej da pozyskanie tego czynnika i gdy widziały, bo widzieć musiały, że zginą w morzu słowiańskiem, nie wahały się dla utrzymania się i dla zapanowania nad Słowianami pozyskać żydów, bo tylko w ten sposób mogły się utrzymać, mogły zapewnić byt i życie drogiej im idei węgierskiej jako samoistnego organizmu państwowego. Dziś w Europie nikt nie patrzy na metrykę pochodzenia i na wyznanie, każdy widzi Węgra w tym, który się do tego przyznaje a rezultatem jest poszanowanie ich narodowości. Dziś każdy Węgier z tych co pod Arpadem to państwo stworzyli, dumnym się czuje, iż jego ojczyzna jest tem, czem jest, i wątpię, by się tam znalazło wielu, którzyby z nienawiści do żydów woleli jej upadek i po prostu z niknięcie z widowni politycznej, jednem słowem narodowe samobójstwo W każdym razie, jeżeli się tacy znachodzą, to są to jednostki.

My, patrząc na to, że tak jest, że aby żyć i być jako Węgrzy, sfery ab origine węgierskie przyjęły żydów, wcieliły ich niejako w swój organizm państwowy i w tem połączeniu dopiero państwo węgierskie faktycznie na nowo ugruntowały — dla siebie naukę z tego wyciągnąć powinniśmy. Nikt mnie nie posądzi o zbytnie sprzyjanie żydom, jak skoro już w pierwszym artykule surowo potępiłem tych, co nas i ludność wiejską wyzyskują, a z których część pewna z wyzysku tego żyje; i tu stoję na tem samem stanowisku, co tam. Ubolewam, że się to dzieje u nas więcej, jak gdzieindziej, lecz bynajmniej, sądząc rzeczy spokojnie i przedmiotowo, temu się nie dziwię. Do uprawiania bowiem wyzysku potrzeba zawsze dwóch stron: tej, co wyzyskuje i tej, co wyzyskiwać się daje. Tu więc nasuwa się samo z siebie pytanie, dlaczego się wyzyskiwać dajemy. Dlaczego? głównie dla naszej słowiańskiej indolencyi, dla tej jakoby nam wrodzonej ciężkości i zamiłowania w wygódkach. Czy pan, czy mieszczanin, czy chłop, tylko dlatego albo źle sprzeda, albo źle kupi, że mu się nie chce pomyśleć i postarać o to, by się ta transakcya handlowa korzystniej dla niego odbyła, gdyż to połączone jest z pewnym trudem i niewygodą. Żydzi to usposobienie nasze doskonale znają, wnet też się zjawia usłużny z pomiędzy nich, który załatwia tę sprawę zaraz, doraźnie i na miejscu, oczywiście ze swoją korzyścią. Czyż go już dlatego w czambuł potępić można? Z pewnością nie, on bowiem także żyć chce, żyć musi, więc korzysta, co jest słuszne — często wyzyskuje, co już nie jest słuszne ani godziwe; ale dlaczegoż na to dozwalamy, zwłaszcza tam, gdzie się nie jest w położeniu przymusowem? A że głównie my sami temu wyzyskiwaniu i pewnemu rozpanoszeniu się żydów jesteśmy winni, najlepiej przekonują te kraje, w których żydzi nie doszli do fortun krociowych i milionowych, jak u nas. Weźmy np. Anglię i Stany Zjednoczone; tam mi nikt nie wskaże żyda milionera, któryby tam był te miliony zarobił, podczas gdy są setki milionerów i miliarderów nieżydów. Podobnie, jak i we Francyi, są tam wprawdzie żydzi milionerzy, jak Rotszyld, Efrussi, Hirsz i t. p., ale nie na Francuzach oni majątek swój zrobili, lecz już z majątkami tam zamieszkali, który to gdzieindziej zrobiony majątek z natury rzeczy w kraju zamieszkania powiększać się musi.

Przeciwnie zauważać możemy, iż przeważnie majątek żydów pochodzi z Austryi i ziem słowiańskich. W Niemczech próbowali oni po wojnach francuskich, to jest po r. 1815 opanować przemysł i handel, co im się nawet w części udało, wkrótce atoli powstała odporność tak silna, iż wyrugowano ich z massy stanowisk kupiecko-handlowych i pozostawiono im tylko instytucye finansowe, wekslarskie itp., czem jak wiadomo, żydzi od niepamiętnych czasów się zatrudniali. Nie zwalajmy przeto całej winy na drugich tam, gdzie znaczna jej część w nas leży. Lepiej daleko się przyznać do tego, poznać i uznać, bo tylko wtedy poprawa możliwa — a już doprawdy czas najwyższy po temu, gdy wstępujemy w dwudzieste stulecie.—Myśl ta przypomina mi, iż w grudniu pr. odbędzie się ogólny spis ludności w kraju naszym, otóż spostrzegam, iż dziesięć lat temu, zostało zapisanych z językiem towarzyskim niemieckim 227600 ludzi — przecież tylu Niemców kraj nasz chyba nie posiada. Stąd wniosek prawdopodobny, iż znaczna część żydów do tego języka jako do swego się przyznała. Tak być jednak nie powinno, jest przeto wskazanem, by starszyzna żydowska to uznała i stosowne pouczenie do swych współwyznawców wydała, że w kraju mogą być różne wyznania, lecz język towarzyski i co za tem idzie: narodowość jedna, więc polska lub ruska. Niech przeto wybierają i swem zeznaniem oświadczą, do której chcą należeć.

Machowa 22 lipca 1899.

Mieczysław Szczepański.

Co i o czem piszą.

Z niecierpliwością wielką wyczekuje młodzież nasza, pragnąca wykształcić się na dobrych handlowców, utworzenia we Lwowie akademii handlowej. Dzięki ofiarności gminy m. Lwowa, Sejmu krajowego i lwowskiej Izby handlowo-przemysłowej, trudności finansowej natury stawiane przez rząd zostały już usunięte — i akademia handlowa wedle zapewnień rządu miała już za miesiąc, t. j. z dniem 1go września wejść w życie.

Tymczasem — pisze *Kuryer Lwowski* — dowiadujemy się ze źródła autentycznego, że wbrew tym zapewnieniom, otwarcie akademii handlowej we Lwowie ma być znów odroczone na rok jeden, z winy rządu centralnego, a wbrew propozycyi Rady szkolnej krajowej. Takie lekceważenie najżywotniejszych interesów kraju naszego jest tem smutniejsze, że wiadomo nam na pewne, iż żadne względy techniczne nic stoją na przeszkodzie otwarciu szkoły: fundusze na utrzymanie zakładu są bowiem zapewnione, siły nauczycielskie zostały już upatrzone i pozyskane, młodzieży, czekającej tylko na otwarcie szkoły, jest spora liczba, — wszystko więc byłoby w porządku, gdyby sprawa ta nie dotyczyła Galicyi, której reprezentacya na każdą ewentualność nie sprawi rządowi przykrości. Żywimy nadzieję, że minister dla Galicyi pomimo urlopu potrafi jeszcze w porę interweniować u swego kolegi p. Bylandta i galicyjski ten wąż morski, przezwany „akademią handlową“ okaże się istotą realną, a nie fikcyjną, już z dniem 1 września rb., zwłaszcza iż dla rodziców, którzy mają zamiar zapisać swych synów do akademii handlowej, szybka decyzya ministerstwa i wczesne powiadomienie ich o otwarciu szkoły są rzeczą doniosłego znaczenia.

* * *

Dziwna to zaiste rzecz, że w społeczeństwie naszem prawie żadna sprawa publiczna nie obejdzie się bez kwasów. Czy sprawia to zbyt gorący temperament, czy też zbytnia otwartość charakteru, nie licząca się z tem, że przecież w niektórych sprawach powinno się zrobić tę ofiarę, iżby zachować dla siebie rozmaite uwagi krytyczne, a nie wylewać ich na widownię publiczną — w to nie wchodzimy. Konstatujemy tylko fakt, że każdy, kto u nas podejmie jaką rzecz nową, musi być przygotowany na uszczypliwą, często bardzo bolesną krytykę. Oto właśnie teraz przedmiotem takiej krytyki są: twórca pomnika Mickiewicza w Warszawie i członkowie komitetu, który zajmował się jego wzniesieniem. Mało która sprawa wywołała tyle kwasów, co pomnik Mickiewicza w Krakowie; zdawało się, że w Warszawie to się nie powtórzy, bo wobec faktu, że przecież stanął pomnik naszego największego wieszcza w dawnej stolicy Polski, zamilkną wszelkie choćby nawet uzasadnione krytyki na temat, czy pomnik jest dobry lub zły i czy można było inaczej pokierować akcyą wzniesienia go. Jakoż istotnie krytycy milczeli, ale tylko przez pół roku, obecnie jednak zaczynają już podnosić swe głosy. Warszawski tygodnik *Prawda* występuje z zarzutami, że p Godebski za drogo kazał sobie zapłacić, i że dzieło jego przedstawia niezbyt wielką wartość artystyczną.

P. Godebski — pisze fejletonista *Prawdy* — zażądał 50.000 rubli, a pomimo, że „suma ta wydawała się komitetowi wygórowaną“, nie ustąpił z niej ani grosza, a mógł być w targu twardym, bo nie miał współzawodnika. I za co tyle otrzymał? W odpowiedzi na to pytanie wypiszemy kilka dat: 8 maja zdecydowano wybór p. Godebskiego, już 5 czerwca nadesłał pierwsze rysunki odrzucone, a 21 nowy — przyjęty; 7 września wygotował model, 25 października skończył lepić całą figurę. Dodajmy do tego jeszcze trzy miesiące zajęć, razem więc za ośm miesięcy pobrał 50.000 rubli, co stanowi przeszło 200 rubli dziennie. Nietylko p. Godebski nie miał z pewnością równego zarobku, ale wątpimy, czy którykolwiek rzeźbiarz tyle dostał. A pamiętajmy, że ten interes zrobił Polak na Mickiewiczu.

Następnie podnosi fejletonista *Prawdy*, że jakkolwiek pomnik ma takie wady, że rażą one nawet najzwyklejszego przechodnia, ogół nie gorszy się tem, lecz jest zadowolony, chwali dzieło p. Godebskiego i do tej pory nikt nie odważył się nawet na najlżejszą krytykę artystycznej strony tego dzieła. Jestto jednak zupełnie zrozumiałe. Społeczeństwu chodziło przedewszystkiem, niemal wyłącznie, o widomy znak jego czci dla Mickiewicza, a nie o przyozdobienie Warszawy utworem artystycznym. Dlatego też gdyby zamiast stojącej obecnie figury, położono tylko ociosany blok granitu z wyrytem nazwiskiem Mickiewicza, wzruszenie i zadowolenie byłoby nie o wiele mniejsze. Oto źródło zachwytów nad utworem p. Godebskiego. Z tego również stanowiska sądzona działalność komitetu zasługuje na wielką pochwałę. Mógłby on postąpić właściwiej, wybrać artystę zdolniejszego i projekt doskonalszy, nabyć go taniej, ale wszystkie te możliwości usuwają się z szali wobec faktu, że pomnik postawił. W tym czynie rozpuściły się wszystkie jego błędy.

W sprawie likwidacyi

Banku włościańskiego.

Otrzymaliśmy następujące pismo:

Na skutek artykułu zamieszczonego w numerze niedzielnym *Przeglądu* w sprawie Banku włościańskiego mamy zaszczyt zawiadomić Szanowną Redakcyę, że rachunki tegoż zakładu bywały po myśli ugody zawartej z wierzycielami tegoż zakładu przedkładane corocznie c. k. sądowi krajowemu, jako władzy kuratelarnej i przez tenże sąd starannie badane, poczem komitet likwidacyjny otrzymywał corocznie absolutoryum z rachunków i czynności ze strony wymienionego sądu.

Niesłusznem tedy jest przypuszczenie, jakoby działalność i finansowa gospodarka komitetu były bez żadnego nadzoru prowadzone. Również rachunki kosztów sądowych prowadzono szczegółowo na osobnem koncie i rachunki te jak wszystkie inne ulegały szczegółowej rewizyi i badaniu.

Komitet likwidacyjny postanowił z końcem bieżącego roku zamknąć swoją działalność i celem uregulowania pozostałych pretensyi zaprosił grono obywateli częścią z pośród posłów, częścią zaś z pośród osobistości zajmujących się sprawami ludowemi, a to w tym celu, aby przy ich pomocy i za ich radą likwidacyę, ile możebne, z względną dla dłużników a z słuszną obroną praw wierzycieli dokończyć. Komitet likwidacyjny postanowił zarazem uprosić tenże komitet obywatelski, aby przed końcem likwidacyi, a w każdym razie jeszcze w ciągu bieżącego roku, wybrał z grona swego specyalny subkomitet, któryby gruntownie i szczegółowo zbadał wszystkie rachunki likwidacyi. W ten sposób przeprowadzoną będzie niejako superrewizya całości rachunków, sądownie już zbadanych, a nadto będzie daną sposobność przekonania się, że rachunki i czynności komitetu prowadzone były z największą ścisłością — i możność wyrobienia sobie należytego obrazu o całej działalności Komitetu.

Rezultat tych badań poda komitet do wiadomości publicznej.

Z poważaniem

Komitet likwidacyjny Banku włościańskiego.

Echa z wód.

Żegiestów, 16 lipca.

Fatalna pogoda zrobiła, że liczba gości tak w Żegiestowie, jak i sąsiedniej Krynicy, a wogóle we wszystkich zdrojowiskach karpackich jest względnie nieznaczną.

Żegiestów ma jednak stałe kółko zwolenników. Kto raz bowiem tu przyjedzie, powróci z pewnością. Doprawdy zarząd zdrojowy mógłby wyprawić obchody jubileuszowe niektórym gościom, którzy tu od lat dwudziestu kilku zjawiają się corocznie.

W tym roku stali goście dopisali; inni powoli zaczynają się zjeżdżać, miejsca wszakże zdaje się w tym roku dla wszystkich wystarczy, takie to bowiem lato, że człowiek w pogodę, która, o ile się zdaje, już się ustaliła, nie wierzy i z domu niechętnie wyrusza.

Szczupła liczba osób, przebywających tu obecnie, urządza wycieczki bądź w głąb odwiecznych a rozległych lasów, pokrywających jak okiem sięgnie, wszystkie okoliczne stoki górskie, bądź na szczyty, skąd roztacza się wspaniały widok na ubielone śniegiem Tatry. Inżynier Krynicki, właściciel Żegiestowa, kuje wciąż nowe chodniki w skałach i na niedostępnych dotychczas stromych ścianach górskich, by udostępnić wejście na te szczyty i wyniosłości, skąd roztaczają się przepyszne widoki na dolinę Popradu, porosłe lasem wąwozy z szumiącemi na dnie potokami, wreszcie na malownicze Karpaty węgierskie, o ostrych nagich szczytach, które już zaczynają się wznosić po drugiej stronie Popradu. Godzinami całemi można przebywać na chodnikach górnych, biegnących wężem het wysoko ponad wąwozem Żegiestowa i lubować się cudnymi widokami krainy węgierskiej lub polskich Beskidów.

Ze spacerów żegiestowskich korzysta Krynica, niema bowiem dnia, by nie zajechało przed restauracyę tutejszą kilka powozów od strony Krynicy. Po popasie i obejrzeniu jarów żegiestowskich wszystko dąży na najwspanialszy spacer do Krzyża nad tunelem kolejowym, gdzie we wnętrzu ziemi znikają pociągi ku granicy węgierskiej; my zaś, korzystając z przystanku kolejowego w samym zakładzie, odbywamy jeszcze piękniejsze wycieczki, bądź do Muszyny (na podwieczorki, bądź na ruiny zamku w Rytrze, zapuszczamy się za Orlo do Węgier, a gdy nam się to sprzykrzy, prom góralski po spienionych nurtach Popradu wiezie nas na stronę węgierską, gdzie w świetnie zachowanych puszczach magnatów węgierskich używamy dowoli swobody.

Taki to tryb życia wiedziemy my, zdrowi, komu zaś zdrowie nie dopisuje, ten, oddawszy się pod opiekę dra Edwarda Brühla, używa miarowego spaceru na bliższych chodnikach, pije wodę ze źródła, używa kąpieli, wreszcie, jeżeli mu lekarz pozwoli, w soboty może z nami, zdrowymi, pójść na „reunion“ do dworca zdrojowego, gdzie na tańce zjeżdża się, oprócz gości żegiestowskich, wiele osób z Sącza i Muszyny.

Wille zakładowe są obecnie wszystkie odnowione i wygodnie umeblowane. Kanalizacya żegiestowska, która dawniej nieco pozostawiała do życzenia, dziś jest doprowadzona do wzorowego porządku, a wodotryski, urządzone na źródliskach, wyrzucają wysoko potoki pysznej wody zimnej na użytek mieszkańców willi.

Mały Feljeton.

Odpowiedź na wiersz umieszczony w „Przeglądzie“ w numerze 165 z dnia 21 lipca.

Biorąc ogół niestety, wśród chat i salonów,
Wiele *spaczeń* widziałam, mało zgodnych tonów,
Gdy jednak wiersz „o deskach“ wywołał przestrogę,
Dziś innym aforyzmem służyć Państwu mogę;
Oto sądzę, istnieje dziwne *fatum* świata,
Że w życiu chętnie piołun z pokrzywą się brata.
W małżeństwie mąż — *to piołun*, żona — *to pokrzywa.*
Czy zaś wiele słodyczy z tego związku bywa,
Niech moja przeciwniczka przekonać się raczy,
A potem — aforyzmy pewno mi przebaczy.

Anna Neumannowa.

KRONIKA.

Lwów 24 lipca.

Wiadomości urzędowe. Cesarz zamianował radców skarbowych: dra Kazimierza Łuczkiewicza i dra Franciszka Turek-Niewiadomskiego starszymi radcami skarbowymi prokuratoryi skarbu we Lwowie, oraz radcę skarbowego Walerego Olszewskiego starszym radcą skarbowym extra statum w etacie lwowskiej krajowej Dyrekcyi skarbowej.

Starszy komisarz powiatowy dr. Stanisław Nowosielecki i sekretarz namiestnictwa Adam Telichowski mianowani zostali starostami, a komisarze powiatowi Juliusz Kadyj i Albert Rożański sekretarzami namiestnictwa.

Minister skarbu zamianował sekretarzy prokuratoryi skarbu: dra Juwenala Rozwadowskiego, dra Zdzisława Dziubińskiego, dra Wiktora Hamerskiego i dra Włodzimierza Orskiego radcami skarbowymi w etacie lwowskiej prokuratoryi skarbu poborcę głównego urzędu podatkowego we Lwowie Wiktora Rosenfelda kontrolorem krajowej kasy filialnej w Krakowie; kontrolora głównego urzędu podatkowego Władysława Nawratila — poborcą głównego urzędu podatkowego w lwowskim okręgu służbowym.

Minister rolnictwa zamianował w etacie jurydyczno-administracyjnych urzędników Dyrekcyi domen i lasów, sekretarza Artura Müllera we Lwowie radcą administracyjnym, a adyunkta Jana Falkowskiego — sekretarzem.

Prezydyum krajowej Dyrekcyi skarbu zamianowało adjunkta podatkowego, Józefa Szklarza, asystentem urzędu sprzedaży soli w Wieliczce.

Sąd krajowy wyższy w Krakowie przeniósł oficyałów kancelaryjnych: Mikołaja Stećkowa z Liszek do Jasła i Józefa Zubka z Sokołowa do Wiśnicza, oraz zamianował oficyałami kancelaryjnymi z pozostawieniem na dotychczasowych miejscach służbowych kancelistów: Michała Studenckiego w Krzeszowicach, Hipolita Dubiela w Jaworznie, Jana Saippa w Łańcucie, Marka Kretza w Tarnowie, Marcina Kassiana w Siemieniu, Maryana Hellera w Tarnowie, Stanisława Polaczka w Krakowie, Edmunda Gilskiego w Grybowie, Jana Piroskiego w Łańcucie, Andrzeja Wieiarskiego w Gorlicach, Tomasza Uchacza w Myślenicach, Józefa Sieniutowicza w Białej, Jana Luderę w Przeworsku i Jana Polka w Mielcu; oraz przeniósł kancelistów sądowych: Leonarda Bochyńskiego z Miłówki do Tarnowa, Andrzeja Zalińskiego z Andrychowa do Nowego Targu, Bronisława Zysa z Krzeszowic do Łańcuta, Józefa Donasia z Ropczyc do Andrychowa, Jana Miśkiewicza z Liszek do Rzeszowa, a zamianował kancelistami sądowymi: Stanisława Gadomskiego dla Podgórza, Michała Wilhelma Bothe dla Kalwaryi, Piotra Schweglera dla Kolbuszowej, Bolesława Ziąborska dla Białej, Leona Führera dla Grybowa, Jana Litwińskiego dla Brzeska, Józefa Sekundy dla Niska, Ignacego Saryę dla Mielca, Jana Gorączko dla Żabna, Wacława Woysym Antoniewicza dla Bochni, Jana Mazurskiego dla Liszek, Tadeusza Lekczyńskiego dla Przeworska, Józefa Krementowskiego dla Jasła, Mieczysława Kwilinkowskiego dla Żywca, Józefa Hor dla Krosna, Jana Sadlika dla Ropczyc, Antoniego Tokarczyka dla Jordanowa, Wojciecha Byśka dla Gorlic, Jana Czajkę dla Jordanowa, Stanisława Jaworskiego dla Kalwaryi, Maryana Grodziskiego dla Tuchowa, Emila Zanoszczyńskiego dla Oświęcima, Kazimierza Bautro dla Strzyżowa, Kazimierza Radoszewskiego dla Tarnobrzegu, Andrzeja Rosoła dla Dukli, Stefana Witkowskiego dla Wieliczki, Leona Pilarza dla Sokołowa, Juliana Śmiecha dla Trzcyny, Franciszka Szymczyka dla Starego Sącza, Bronisława Polaka dla Nowego Targu, Macieja Płazę dla Dąbrowej, Leona Pańczakiewicza dla Nowego Targu, Jana Barcika dla Wadowic, Antoniego Opałkę dla Leżajska, Mikołaja Żukrowskiego dla Krzeszowic, Alojzego Naturskiego dla Pilzna, Maryana Kazimierza Seńkowskiego dla Ropczyc, Jana Kierpieca dla Żmigrodu, Romana Ermiicha dla Radomyśla i Stefana Zgórka dla Brzeska.

Dyrekcya poczt i telegrafów przeniosła asystenta pocztowego Waleryana Bobakowskiego z Żywca do Nowego Sącza.

Defraudacya w przemyskiej Kasie oszczędności wynosi 77.529 złr. Oskarżonemu o spełnienie jej Adolfowi Amortowi, któremu bronić będzie adw. dr. Solański (Sumper) doręczono już akt oskarżenia.

Konkursa rozpisują: Magistrat m. Lwowa na cztery premie po 562 złr. 50 ct. z fundacyi im. Franciszka Blanka dla ubogich katolickich czeladników rzemieślniczych, posiadających już od władzy przemysłowej upoważnienie do samoistnego wykonywania przemysłu rękodzielniczego. Termin podań o przypuszczenie do losowań upływa z dniem 31 sierpnia. — Rada szkolna okręgowa miejska we Lwowie na posadę starszego nauczyciela w szkole [illegible] im. Szaszkiewicza z językiem wykładowym ruskim, z poborami 880 złr. i na posadę starszej nauczycielki w szkole żeńskiej im. Elżbiety z poborami 880 złr. Termin do 30 sierpnia. — Rady szkolne okręgowe w Wieliczce, Turce, Staremmieście i Trembowli na kilkadziesiąt posad nauczycielskich z terminem do końca bm. — Sąd obwodowy w Suczawie na posadę naczelnika kancelaryi w X randze z terminem do 25 sierpnia. — Gmina m. Ciężkowice na posadę kancelisty względnie rewizora policyi z roczną płacą 240 złr. Termin do 5 września. — Dyrekcya kolei państwowej w Stanisławowie na posadę lekarza kolejowego z poborami 1500 złr. Termin do 10 sierpnia.

Sp. Karol Bernolak, znany nauczyciel szermierki, utonął wskutek tego, że dostał nagle ataku sercowego. Kąpiący się z nim młodzi panowie Baliccy, synowie właściciela dóbr Wykoty, widząc, że Bernolak znikł z powierzchni wody, rzucili się mu na ratunek, lecz mimo wszelkich starań, nie zdołali go ocalić. Dopiero nazajutrz, tj. w czwartek znaleziono jego zwłoki i odwieziono do Chyrowa, gdzie też zostały pochowane.

Wyrok na lichwiarza. W Sanoku skazał onegdaj trybunał orzekający lichwiarza Szymona Bergmana, arendarza z Teleśnicy oszwarowej, na 5 miesięcy aresztu i 800 zł. grzywny za lichwę. Pobierał on 52—104 od sta i stał się przyczyną ruiny najmniej dwunastu rodzin włościańskich.

W zakładzie naukowo - wychowawczym OO. Jezuitów w Chyrowie rozpocznie się nowy rok szkolny uroczystem nabożeństwem 1 września rano. Egzamina wstępne do 1 klasy odbędą się 1 września, do innych klas 1 i 2 września.

P. T. Rodzice chcący umieścić swe dzieci w zakładzie, zechcą w celu zapewnienia korespondencyi dołączyć do zgłoszeń metrykę i świadectwa szkolne, przesyłając je na ręce rektora zakładu najdalej do 31 sierpnia.

Oprócz klas gimnazyalnych są w zakładzie klasy przygotowawcze, do których przyjmuje się uczniów w wieku [illegible] lat.

Student mimowolnym zabójcą. Na leśniczówce w Zwierzyńcu pod Brzeżanami uczeń III klasy gimnazyalnej Bronisław Inglot ze Lwowa, bawiąc się [illegible], wystrzelił parobka Leona [illegible]. Inglot rozmawiał z [illegible], poczem z żartów począł do niego mierzyć. W tej chwili spadł kurek, a kula ugodziła parobka w czoło i zabiła go na miejscu.

W Abbazyi bawią z Polaków artysta p. Ładnowski, [illegible] dr. Dyduszyński, S. Warteresiewicz z Bukowiny i pani Barańska, inżynierowa z Krakowa.

Osobliwością dnia w Krakowie jest teraz „najmniejsza w świecie para narzeczonych“, hrabianka St. Clair i hrabia Leon, którzy pokazują się tam za pieniądze. [illegible] karłami.

Ze zdrojowisk. W Szczawnicy bawiło w Zakładzie zdrojowym w czasie od 7 do 16 bm. 357 rodzin, razem z poprzedniemi bawiło tam ogółem w tym sezonie 1538 osób.

Do Krynicy od 10 do 16 lipca przybyło 436, a od początku sezonu 1988 osób.

Kupiec, mace i pożary. Piszą nam z rudeckiego: Wieś Chłopczyce, położona w powiecie rudeckim zalicza około 300 żydów w poczet swego zaludnienia, które wynosi około 1800 dusz. Stosunek ten pośredników do producentów jest trochę niekorzystny, [illegible] uwagi, gdyby nie bliższy [illegible] związek, jaki zachodzi między [illegible] żydów, a częstymi pożarami, jakie nawiedzają wspomnianą miejscowość. W Chłopczycach pali się przeciętnie 2 razy w miesiącu, a na 10 pożarów 8 powstaje w chałupach żydowskich [illegible]. Ostatnimi czasy wybuchły w chałupach żydowskich z każdym razem [illegible] jedyną pożaru przyczyną był „przypadek“ przy pieczeniu ciasta. Różnych wypadków [illegible] u żydów, którzy się wysoko asekurują, łatwo zrozumieć, że spalenie się bywa dla nich często pierwszym stopniem do zrobienia majątku. Ale też jedna chałupa żydowska spalona umyślnie, powoduje ruinę 4—6 gospodarstw włościańskich, nie tak wysoko lub wcale nieubezpieczonych. Kwestya ta staje się bardzo poważną, w obec tego, że według krążących tutaj pogłosek, krakowskie Towarzystwo ubezpieczeń nosi się z myślą nieasekurowania gospodarstw we wsi Chłopczyce, a to z powodu częstych pożarów, powstających z niewytłumaczonej przyczyny. W chwili gdy to piszemy, dymią jeszcze świeże zgliszcza 6 gospodarstw włościańskich, które zajęły się od niewykończonej jeszcze chałupy niejakiego Szlomy Kocha. Niech więc Tow. ubezpieczeń dobrze rozważy, komu należy odmawiać prawa asekurowania się, aby włościanie nie odpowiadali za cudze winy. Nadmienić jeszcze trzeba, że sikawka, kubełki do noszenia wody i osęki należą w Chłopczycach do bajek.

Sprostowanie. Otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo!

W kronice *Przeglądu* nr. 166 z 22 lipca 1899 umieszczona była wzmianka o zajściu mojem z dyrektorem Zgórskim.

Przykro mi w ogóle, że sprawa ta czysto prywatnej natury dostała się do dzienników. Skoro się jednak już tak stało i skoro Szanowna Redakcya podała do publicznej wiadomości, że sprawa moja nie stoi w żadnym związku z jakąkolwiek niedokładnością finansową w Banku krajowym, i że jakobym z powodu moich stosunków towarzyskich zaniedbywał swoje obowiązki urzędowe, to przeciw temu dr. giemu oświadczeniu muszę stanowczo zaprotestować. Bo że w tej mierze zasięgnięte przez Szanowną Redakcyę informacye muszą być mylne, dowodem tego fakt, że ani w ostatnich czasach, ani też przez cały ciąg mego urzędowania nie otrzymałem nigdy z tego powodu ani ustnego, ani tem bardziej pisemnego napomnienia. Takie zaś upomnienia winny zawsze poprzedzać wytoczenie dyscyplinarki, a tembardziej zasuspendowania.

Licząc na znaną bezstronność *Przeglądu*, mam pewną nadzieję, że Szanowna Redakcya zechce umieścić niniejsze sprostowanie w najbliższym numerze swego dziennika.

Z wysokiem poważaniem
Stanisław Pieńczykowski.

Lwów dnia 22 lipca 1899.

Tragedya, jakich wiele, przecięła znowu życie młodej i dobrej kobiety. Oto Florentyna Sowa, kobieta 24-letnia, od trzech miesięcy zamężna, nie mogąc przenieść utraty swego dawnego narzeczonego, którego serdecznie kochała a który ją opuścił, otruła się, bo mężowi, woźnemu pocztowemu, za którego, znaglona okolicznościami, pójść musiała, nie chciała kłamać miłości, a uczuć dla niewiernego stłumić nie mogła. Cały tydzień po zażyciu roztworu fosforu męczyła się okropnie, aż wczoraj umarła, opowiedziawszy poprzednio mężowi i znajomym, którzy u jej łoża czuwali, dzieje swej nieszczęśliwej miłości.

Schronisko dla OO. Jezuitów, chorych na piersi, wystawione w Zakopanem, poświęcono tam 16 b. m. Obok domu mieszkalnego wzniesiono też tam małą kapliczkę.

Uczestnictwo w pielgrzymce do Lourdes, która wyruszy z Wiednia dnia 21 sierpnia br. pod przewodnictwem ks. Engelberta Weinbergera, zgłosiły hrabina Zofia Zamoyska i margrabina Krescencya Pallavicini, damy dworskie arcyksiężnej Maryi Józefy, małżonki arcyks Ottona. Termin do zgłoszeń jeszcze nie upłynął, adres ks. Weinbergera jest: Wien I Neuer Markt 2, Capuziner Kloster.

Litość u ptaków. Z powodu artykułu na ten temat, zamieszczonego w sobotnim numerze naszego pisma, otrzymujemy od jednego z czytelników list, w którym znajdujemy ciekawy przykład wielkiej tkliwości ptaków. „Oto — pisze nasz korespondent — pewnego razu wyszedłem do ogrodu i zmierzałem ku altanie, gdy nagle tuż do stóp moich, zleciawszy z dachu altany, rzuciła się pokrzywka. Sądząc, że może chora, chciałem ją podnieść, lecz ona sama się podniosła i zaraz znowu spadła kilka kroków za mną; znowu zbliżyłem się ku niej i znowu ta sama historya; w ten sposób pokrzywka odciągnęła mnie o jakie pięćdziesiąt kroków od altany. Wreszcie było mi tego za wiele, więc przestałem się ptakiem tym zajmować i poszedłem do altany. Skoro tam usiadłem, spostrzegłem w kąciku pod daszkiem troje dopiero co wylągniętych piskląt. Wtedy zrozumiałem chytrą kokieteryę starej pokrzywki; oto bojąc się, ażebym wszedłszy do altany nie wyrządził jakiej krzywdy jej dziatkom, kochająca matka użyła fortelu, narażając się nawet na niebezpieczeństwo dostania się do niewoli, byle tylko mnie do altany nie dopuścić“.

Sztuczne nerwy. Chirurgia święci nowe tryumfy! Że chirurgom udało się uzupełniać brakujące kości, poprawiać nosy, uszy, wypełniać inne luki w ciele — o tem wiadomo powszechnie. Mniej atoli znanem jest, że obecnie wprawiają już „sztuczne nerwy“, te najdelikatniejsze włókna organizmu ludzkiego. W wypadkach — a naliczono już takich 20 — w których pacyent wskutek przecięcia nerwów skazany był na utratę władzy w ręce lub nodze, wprawiono szczęśliwie „sztuczne nerwy“ i władza w obrażonej części ciała wracała zupełnie! W 9 wypadkach wprawiano nerwy psa, w 3-ch nerwy królika, w jednym wypadku nerwy kota, w pięciu wypadkach nerwy ze świeżo amputowanego ciała ludzkiego i t. d. Do zeszywania kończyn nerwów służy jedwab lub ścięgna zwierzęce. Władza w operowanej części ciała wraca po upływie 2 i pół miesiąca po operacyi — przynajmniej tak zapewnia jedno z pism paryskich, z którego czerpiemy tę wiadomość.

Reklama teatralna nigdzie nie jest uprawiana w stopniu tak wysokim, jak w Anglii i Ameryce. Na parę dni przed pierwszem przedstawieniem melodramatu „The Mystere of a Hansom-Cab“ mieszkańcy Londynu spotykali na ulicach dorożkę, a w niej... trupa młodzieńca ubranego w wykwintny garnitur frakowy, z krwawiącą raną w skroni. W chwili, gdy koło dorożki zgromadziło się dosyć publiczności, młodzieniec przychodził do siebie, stawał w powozie i rozrzucał reklamy, zapowiadające premierę melodramatu. — W Melburnie grano przed rokiem sztukę, której treść osnuta była na życiu więziennem. Codzień na parę godzin przed przedstawieniem przez ulice miasta przeciągał orszak złowrogi; na wozie siedzieli więźniowie, zakuci w kajdany, za wozem szli, dzwoniąc łańcuchami, skazańcy. W pewnych punktach miasta więźniowie targali łańcuchy i chcieli uciekać. Straż rzucała się na skazanych, skuwała ich jeszcze mocniej więzami i orszak znikał nareszcie w bramie gmachu teatralnego. Reklama ta napędziła do kieszeni przedsiębiorców teatralnych paręset tysięcy dolarów. — Pewien przedsiębiorca teatralny, mając zamiar wystawić jakiś sensacyjny dramat, wynajął młodą dziewczynę, która pewnego pięknego poranku rzuciła się do rzeki z mostu w Brooklynie. Wyciągnięto ją z wody a wówczas „desperatka“ wobec zgromadzonego tłumu zeznała, iż jest „bohaterką sztuki“, zapowiedzianej w tym a tym teatrze, i że szukała śmierci w nurtach rzeki, nie była bowiem pewną, czy zdoła podobać się „szanownej publiczności“ w nowej roli. Oczywiście reporterzy roztrąbili oryginalny ten sposób reklamy na cztery strony świata, poczem sztuka miała olbrzymie powodzenie przez parę miesięcy. — Gdy Karol Reades wystawiał słynny swój dramat „Drink“ w miastach Ameryki Północnej, codziennie po wszystkich ulicach przechadzali się ludzie pijani, jak bele, zataczający się, wstrętni w najwyższym stopniu, dźwigający na plecach deskę z napisem: „Jestem chodzącym przykładem okropnych skutków pijaństwa. Dziś w teatrze „Drink“. Przyjdźcie, patrzcie i słuchajcie!“

Zmarli. W Jarosławiu Józefa z Nędzińskich Sokalska, wdowa po profesorze gimnazyalnym. — W Truskawcu dr. Stanisław Illasiewicz, adwokat ze Lwowa, lat 59.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano +20. w poł. +20 R. Bar. 761. Spada. Pochmurno.

Z tajemnic handlowych. Rzecz dzieje się w składzie kapeluszy.

— Proszę o kapelusz słomkowy.

— Oto jest.

— A co kosztuje?

— Cztery guldeny.

— Dlaczego tak drogo? Przecież słoma jest materyałem bardzo tanim

— Ba! słoma jest tania, ale ta *słoma* robiona jest z *drzewa*, a drzewo, jak panu wiadomo, jest coraz droższe.

Myśli.

Często wspomnienie dopiero zwraca uwagę naszą na szczęście, któregośmy w swojem życiu nie zauważyli w czasie właściwym

Wszystkiego można uniknąć: dżumy, wojny, procesów, weksli, ruiny, wypadków, ale niepodobna uniknąć plotek najserdeczniejszych przyjaciół i kontroli najzawziętszych wrogów.

Od wzniosłego do śmiesznego jest tylko jeden krok, ale za to odwrotnie jest kroków bardzo wiele.

Zupełne zadowolenie z siebie jest co najmniej dowodem dobrej fantazyi.

Są ludzie, którzy mają się za energicznych, a są tylko bezwzględni.

Sprzedaż „Przeglądu“ dla dzielnicy Łyczakowskiej urządziliśmy w sklepie korzennym p. Czarneckiego.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 22 lipca.

(Z.) Prywatne doniesienia o żniwach i próbnych omłotach nowego zboża na Węgrzech brzmią coraz pomyślniej i zapowiadają, że tegoroczny sprzęt ziarna będzie znacznie lepszy od zeszłorocznego, zwłaszcza w pszenicy. Podobno w okolicach, w których spodziewano się najwyżej 6 cetnarów metrycznych z morga będzie 7 do 7 i pół, w Słowacyi zaś i komitatach komorneńskim, rabskim, aradzkim i temeszeńskim liczą na wydatność 9 do 10 cetnarów metrycznych z morga. Podczas gdy w roku ubiegłym ogólny sprzęt pszenicy na Węgrzech wynosił 35 milionów cetnarów metrycznych, spodziewają się w tym roku zbioru 38 a może nawet 39 milionów. Na zasiew i na własną konsumcyę potrzebują Węgry 15 milionów cetnarów. Pozostawałaby więc w tym roku na wywóz zwyżka od 23 do 24 milionów cetnarów. — Zazwyczaj o tym czasie już robiono znaczne przygotowania do eksportu zboża węgierskiego i większa część nadwyżki sprzętu była sprzedana, to też w walorach kolejowych panował na giełdzie ruch bardzo ożywiony. W tym roku jednak nie widać nawet śladu jakichś przygotowań, a walory kolejowe są właśnie najbardziej zaniedbane i kurs ich obniża się. Jest to następstwem radykalnej zmiany stosunków w międzynarodowym handlu zbożowym. Dawniej uchodziły Węgry za spichlerz Europy i od rezultatu żniw na Węgrzech zależne było ułożenie się cen zbożowych. Obecnie w obec kolosalnych dowozów zboża zamorskiego żniwa węgierskie nie wywierają już decydującego wpływu, a kraje importujące zboże nie spieszą się z jego zakupnem, gdyż czekają na sprawozdania z za Oceanów. To jest głównym powodem, dla którego giełda dotychczas wcale nie odczuwa wpływu żniw węgierskich.

Tylko w walorach górniczych czuć potężną rękę kartelowej kliki. Giełda nibyto jest wyludniona, nie ma w niej życia żadnego, a jednak mimo to akcye kartelu żelaznego w szalonych skokach idą w górę, a hasło do tego wychodzi z czeskich miejsc kąpielowych, gdzie przebywają owi wielcy spekulanci, których dłoń od roku już prawie ciąży na naszym targu pieniężnym. Praskie akcye żelazne podskoczyły dziś znów o 22 zł. na 1.338, a ich zwyżka pociągnęła za sobą zwyżkę wszystkich innych walorów tej kategoryi. Kontrmina w popłochu umyka z pola i odkupuje sprzedane in bianco walory, by jak najrychlej pozbyć się tych niebezpiecznych zobowiązań, bo jeżeli praskie akcye żelaza w tym kanikularnym okresie mogły w ciągu tygodnia podnieść się o 100 zł., to któż zaręczy, że jeszcze przed końcem miesiąca nie podniosą się o dalszych 100 zł., zwłaszcza, że teraz właśnie zamykają bilans tego przedsiębiorstwa za ubiegły rok obrotowy i otwarte jest pole dla najfantastyczniejszych kombinacyi. Dziś mówiono np. że sytuacya praskiego Towarzystwa jest tak świetna, iż akcyonaryusze otrzymają 55 złr. dywidendy i 95 złr. od akcyi tytułem udziału w skasować się mającej nadzwyczajnej rezerwie i pomimo tego natychmiast utworzona zostanie nowa specyalna rezerwa z ukrytych zasobów. Między innemi posiada to Towarzystwo 30.000 alpinów, które figurują w księgach w wartości nominalnej, t. j. po 100 złr. od akcyi, podczas gdy dzisiejszy kurs ich jest 241·25. Owóż, jak opowiadają, zarząd praskiego Towarzystwa zamierza sprzedać te alpiny po 240 i w ten sposób uzyska na różnicy kursu 4,200.000 złr. i z tego stworzy nową rezerwę specyalną. Być może, że za kilkanaście dni pokaże się, że to nieprawda, ale na razie rozgłaszanie takich wersyi działa jak napój odurzający.

Prócz walorów górniczych przedmiotem ożywionej spekulacyi są wciąż jeszcze akcye kredytowe. Kupowano je dziś znacznemi partyami na rachunek Berlina, gdzie okazał się ich brak, gdyż wiele akcyi będących w posiadaniu niemieckich kapitalistów, zdeponowano już do najbliższego walnego zgromadzenia, na którem, jak wiadomo, zapaść ma uchwała co do podwyższenia kapitału akcyjnego. Opowiadano nadto, że niebawem przeprowadzić ma Zakład kredytowy dwie nowe wielkie transakcye przemysłowe, a mianowicie przemianę w Towarzystwo akcyjne fabryki wyrobów metalowych Kruppa w Berndorfie i fabryki maszyn i wagonów Ringhofera w Smichowie. W innych walorach bankowych i na targu rent był zastój kompletny.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 382·50, węgierskie 387.25, Anglobanki 150·50, Uniony 311·—, Bankvereiny 272·75, Länderbanki 240·—, Ludwiki 211·20. Czerniowieckie 287·25, Elbethale 259·—. Renta papierowa 100·65, srebrna 100·30, austryacka złota 119·25, austr. renta wal. kor. 100·20, węgierska złota 119·05, węgierska renta wal. kor. 96·55, dukat 5·67, 20 frankówka 9·55—, marki 11·77, ruble 1·26 3/4.

§ **Z kolei.** *Gazeta lwowska* ogłasza rozpisanie licytacyi na sprzedaż urządzeń ze zwiniętego krajowego składu zboża i spirytusu we Lwowie. Oferty dotyczące mają być wniesione najpóźniej dnia 8go sierpnia b. r. do 12 godziny w południe w c. k. Dyrekcyi kolei państw. we Lwowie.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Otrzymane wczoraj)

Praga 23 lipca. Jak donoszą z kół zbliżonych do klubu czeskiego ma być niebawem otwarte czeskie seminaryum nauczycielskie w Opawie.

Petersburg 23 lipca. Zwłoki W. księcia Jerzego przybędą tu pojutrze i zostaną złożone tego samego dnia w katedrze Piotra i Pawła.

Petersburg 23 lipca. Car wyznaczył Akademii umiejętności 60.000 rubli dla zakupna okrętu, na którym osobna ekspedycya badać ma wyspy Nowosyberyjskie i kraj San Uikow.

Wiedeń 23 lipca. Jak donosi *N. Freie Presse* niemiecka partya postępowa wystąpi w najbliższych dniach z manifestem przeciw § 14. Poseł dr. Pergelt natychmiast po ogłoszeniu rozporządzeń ugodowych na podstawie § 14 zniósł się z przewodniczącymi wszystkich klubów niemieckich w sprawie wspólnego wystąpienia, wystosował także odnośne pismo do dr. Luegera, ten jednak odpowiedział, że przyjmuje je tylko do wiadomości. Następnego dnia pojawił się osobny manifest partyi antysemickiej.

(Otrzymane dziś)

Rzym 24 lipca. Z Neapolu donoszą, że tamtejszy *Corriere di Napoli* dowiaduje się z wiarygodnego źródła, iż poseł włoski w Belgradzie otrzymał instrukcyę, aby zalecił królowi Aleksandrowi jak największe umiarkowanie w rozgrywających się obecnie w stolicy serbskiej smutnych wypadkach.

Ischl 24 lipca. Przybył tu austro-węgierski ambasador w Petersburgu baron Aehrenthal i był na całogodzinnem posłuchaniu u Cesarza.

Wiedeń 24 lipca. *Fremdenblatt* i inne dzienniki donoszą, że Cesarz przyjął prośbę o dymisyę dotychczasowego dyrektora kancelaryi Izby deputowanych szefa sekcyi dra Henryka Halbana i nadał mu przy tej sposobności krzyż komandorski orderu Franciszka Józefa.

Paryż 24 lipca. Zmarł tu senator Chesnelong, który był założycielem i prezydentem związku katolickich komitetów dla zwalczania radykalizmu.

Petersburg 24 lipca. Z polecenia cara zawiadamia minister oświaty, że wszyscy studenci uniwersyteccy, którzy brali udział w ostatnich zaburzeniach, otrzymają przebaczenie. Część ich może już z rozpoczęciem najbliższego roku szkolnego, część zaś w sierpniu 1900 roku podjąć na nowo przerwane studya.

Rzym 24 lipca. Do agencyi Stefaniego donoszą z Waszyngtonu: Amerykański sekretarz stanu Hay zawiadomił sekretarza ambasady włoskiej Vinciego, że rząd Stanów Zjednoczonych postara się o to, aby w sprawie godnego ubolewania zajścia w Tallulah (gdzie tłum rzucił się na Włochów i 5 z nich powiesił), stało się zadość sprawiedliwości i względom międzynarodowym.

Barcelona 24 lipca. Wczoraj wieczorem z okazyi uroczystości, urządzonych na cześć marynarzy francuskich zaszły znowu groźne zaburzenia. Policya była zmuszoną wystąpić i przywrócić porządek.

Berlin 24 lipca. Austro-węgierski ambasador Szögeny-Marich uda się w tych dniach na kilkutygodniowy urlop do Węgier.

Haaga 21 lipca. Trzecia komisya konferencyi pokojowej przedyskutowała już zupełnie projekt załatwiania w drodze pokojowej międzynarodowych zatargów. Komisya przyjęła jednogłośnie ów projekt i na tem zakończyła swe prace. Zamknięcie konferencyi pokojowej nastąpi we czwartek lub sobotę.

Pola 24 lipca. W kanale Curzola pod wyspą Torcola pękł wczoraj na łodzi torpedowej „Adler“ kocioł przy czem chorąży okrętowy Grabmayer i 4 ludzie z załogi okrętowej ponieśli śmierć na miejscu, a dwaj ciężkie rany. Łódź torpedowa znacznie została uszkodzona. Wyciągnięto ją na ląd w Lesinie.

Madryt 24 lipca. W izbie deputowanych oświadczył minister spraw wewnętrznych, że rząd ukarałby surowo arcybiskupa Sevilli, gdyby on odważył się spiskować. Minister zapewnił zarazem, że doniesienia o manifestacyach w Barcelonie są przesadne.

Paryż 24 lipca. Dzienniki *Aurore* i *Matin* uważają za rzecz pewną, że proces w Rennes rozpocznie się 7 sierpnia i trwać będzie dni 10. Wedle dzienników *Siecle* i *Eclair*, głośna rzekoma depesza gratulacyjna cara do ks. Ludwika Napoleona jest falsyfikatem.

Belgrad 24 lipca. Zupełnie bezzasadną jest wiadomość dzienników zagranicznych o dymisyi gabinetu.

Wiedeń 24 lipca. Jak donosi *Wiener Allg. Montags Zeitung* austro-węgierski poseł w Belgradzie zaraz po pierwszych aresztowaniach z powodu zamachu na Milana, zwrócił się w drodze ustnej do rządu serbskiego z radą, aby zachował umiarkowanie.

Paryż 24 lipca. *Petit bleu* donosi. że radca ambasady francuskiej w Berlinie, De la Roche, otrzymał wezwanie do prokuratoryi.

Berlin 24 lipca. Poranne dzienniki donoszą, iż podczas wczorajszej burzy wydarzyła się na terenie cyklistów w Charlottenburgu katastrofa, w której 3 osoby zostały zabite, 4 ciężko ranne, zaś 16 osób odniosło lekkie obrażenia ciała.

Praga 24 lipca. *Narodni Listy* donoszą z Wiednia, że minister skarbu dr. Kaizl, czyniąc zadość życzeniu austryackiego Towarzystwa urzędników, zniósł kaucye dla urzędników. Kaucye zdeponowane zostaną urzędnikom zwrócone w 2 do 3 latach.

Konstantynopol 24 lipca. Z powodu naruszenia granicy turecko-rosyjskiej w Azyi Mniejszej ze strony rosyjskiej, władze tureckie nie przepuszczają z powrotem Ormian, którzy udali się do Rosyi na roboty polne. Ormiański patryarcha poczynił z tego powodu przedstawienia Porcie.

Wiedeń 24 lipca Niemieckie stronnictwa opozycyjne, mianowicie niemiecka partya postępowa i niemieckie zjednoczenie ogłaszają enuncyacyę przeciw ostatnim rozporządzeniom wydanym na podstawie § 14.

Wiedeń 24 lipca. Z Aussee donoszą jako rzecz postanowioną, że spotkanie się ministra hr. Gołuchowskiego z kanclerzem niemieckim ks. Hohenlohe, który przybędzie tam 2 sierpnia, nastąpi około 9 sierpnia w Altaussee

HOTEL EUROPEJSKI
ALBERT SZKOWRON
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 24 lipca. JO. ks. Orlean z Żółkwi. Hr. Drohojowska z Lubienia. Hr. St. Piniński z Grzymałowa. JE. A. Jaworski z Wiednia. Hr. M. Tarnowska i A. Żurowska z Rosyi. N. Gołaszewski z Toustobab. M. Zawistowska z Supranówki. Br. A. Horroch z Winniczki. D. Kiesler z Czerniowiec. Major Stupnicki z Wiednia. Fr. Stanek z Wiszenki. Hr. Jabłonowski z Popowca. J. Grocholski z Rożysk. M. Kuczyńska z Schodnicy. F. Rudzki z Rosyi. T. Wild z Krakowa. Wł. Słotwiński z Kijowa. Z. Pilc z Rozdołu.

HOTEL FRANCUSKI
plac Maryacki
i Hotel pod trzema Murzynami
ul. Krakowska l. 9
Ludwika Stadtmüllera własne.

Przyjechali dnia 24 lipca. Dr. L. Berlin adw. z Petersburga O. Ausloos z Karlsbadu. B. Bronikowski z Iwonicza. K. Gorecki i P. Zdrassilowie z Stanisławowa. B. Blankowie z Przeworska. P. Brysiewicz, burmistrz z Turki. W. Wełożyńscy z Podola ros. P. Liskowicz z Sokala. J. Bernlochner i K. Kiaschek z Wiednia. Gottleb Haszlakiewicz z Wołynia. P. Chomiński z Kołomyi. P. Myszkowski z Stubna. A. Staw z Gracu. P. Chojecka z Rudy. J. Launhardt z Paryża. K. Reiter z Frankfurtu. L. Zajączkowski z Rosyi. J. Bauman z Pragi.

Lwów 24 lipca. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 210·70 do 212·50 Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 286·00 do 289·00. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 371.— do 377·—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. —·— do —·— . Tow. budowy wagonów w Sanoku 255·— do 258·—. Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 200·00 do 201·00.

Listy zastawne za 100 złr. Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100. · do 100·70, 4 proc. los w 60 lat 96.50 do 97·20. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 61 lat 100·50 do 101·20. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 98·— do 98·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc (I emisya) 97.50 do 98·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 97·50 do 98·20, 4 proc. los w 56 lat 95·60 do 96·30.

Obligi za 100 zł., Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 98.10 do 98·80. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·25 do —.—. Kom. Banku kraj. 5proc. (II emisyi) 102·00 do 000,00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·50 do 98·20. Pożyczki kraj. 6 proc. 104.00 do —·—. 4 proc z 1893 r. 96·90 do 97·60, 4 proc. po 200 koron z 1898 roku 93·90 do 94·60.

Monety. Dukat cesarski 5·65 do 5·75. Napoleondor 9.52 do 9·62. Rubel rosyjski papierowy 126·80 do 127.80. 100 marek niemieckich 58·70 do 59·15

Wiedeń 24 lipca. (Giełda towarowa). Cukier surowy 13·75. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus 19·50—20.—.

Berlin 24 lipca. (Zamknięcie giełdy). Banknoty austryackie 169·85. Spirytus 42·90.

Paryż 24 lipca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100·87. Mąka 44·10.

Wiedeń 24 lipca. (Giełda zbożowa). Pszenica na jesień 8·39—8·40; żyto na jesień 6·90—6·91; kukurudza na lipiec-sierpień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·11—5·13; owies na jesień 5·74—5·75; rzepak na sierpień-wrzesień 12·35—12·45, olej rzepakowy na wrzesień-grudzień 32—33. Tendencya silna. Pogoda: pochmurno.

Budapeszt 24 lipca. (Giełda zbożowa). Pszenica na październik 8·32 — 8·33; pszenica na kwiecień 1890 r. 8.63—8·64; żyto na październik 6·68—6·70; owies na październik 5·44—5.46; kukurudza na sierpień 4·70—4·72, na maj r. 1900 4·70—4·72; rzepak na sierpień 12·10—12·15. Oferty na pszenicę dostateczne. Chęć kupna ograniczona. Tendencya słaba. Pogoda: wiatr.

39)

OPĘTANI

POWIEŚĆ MATYLDY SERAO.

(Ciąg dalszy).

— Co pani mówi? — zapytał zdziwiony.

— Nic, uprowadź mnie pan stąd... na wieś, pomiędzy drzewa zielone, gdzie panuje spokój, do swej matki... przed Boga.

— Ach! droga... droga...

Genialny ten człowiek był tak zmieszany słowami Blanki, że nie wiedział co odpowiedzieć.

— Daleko... — szeptała dalej, spoglądając na niego swemi dobremi oczyma.

X.

Pod wpływem ciepłego kwietnia, wszystkie ogrody, tarasy i balkony neapolitańskie pokryły się kwiatami; wszędzie, gdzie tylko był kawałek ogrzanej przez słońce i kąpanej przez rosę ziemi, pojawiły się kwiaty. Były to kwiaty skromne, pospolite, pokorne, nie uderzające doborem barw i zapachów, lecz żywe, wesołe i swą rozmaitością pociągające ku sobie oczy: wielkie, pachnące róże o jaskrawej barwie krwi; ulubione przez ludność goździki białe, różowe, prążkowane, poetycznie zwane pianemi, jak gdyby dziwne znaczki na nich wyrażały jakieś słowa mistyczne; puste i pełne lewkonie białe, żółte, różowe, ulubione przez młode panny miejskie, które hodują je na balkonach zwróconych na północ przy ulicy Foria; malwy o liściach pachnących i małych kwiatkach różowych, lecz nadewszystko wspaniałe róże aksamitne, prawie aroganckie, oraz goździki tak pełne i wielkie, że aż rozsadzały swe torebki zielone.

W miejscowościach wilgotnych i zacienionych dzielnic niższych, na Santa Maria la Nova, na placach Porto, San Giovanni Maggiore, Santi Apostoli, we wszystkich dzielnicach mieszczańskich krążyli przekupnie wędrowni z koszami pełnemi róż ciętych i pączków, z flancami w liściach kapusty, z ziemią inspektową, stawiali na ziemi koszyki i melancholijnym głosem śpiewnym wołali:

— Róże sprzedaję! Róże sprzedaję!

Na ich głos ze sklepów i balkonów wychylały się głowy kobiet — i każdy, kto mógł poświęcić kilka centymów, kupował bukiet lub pojedyńcze róże, by ozdobić niemi taras, balkon, lub położyć je przed obrazem Madonny, a później, oberwawszy listki, ułożyć je pomiędzy bieliznę. Poczem przekupnie stawiali znowu na głowach kosze z kwiatami i oddalali się, śpiewając melancholijnym głosem:

— Kwiaty sprzedaję! Kwiaty!

W piękne pierwsze dni maja wszystkie młode robotnice, spieszące do pracy z nadzieją spotkania swych kochanków na rogu ulicy, trzymały w rękach róże; wszystkie wieśniaczki, przybywające z okolicy, miały na białym muślinowym staniku przypięty goździk czerwony; przechodzący ulicami uczniowie trzymali w rękach róże, nawet służące przyozdabiały niemi swe kosze z wiktuałami.

Powodem tego zamiłowania w kwiatach był nie tyle sentymentalizm poetyczny, ile raczej obfitość róż i goździków, które można było otrzymać za jednego centyma, za uśmiech, za jedno słowo, a które taką przyjemność sprawiały temu ludowi, kochającemu się w barwach i łatwo upajającemu się najlżejszym zapachem

Już same wyrazy: pierwsze dni maja — upajały każdego.

Tego dnia już od południa na wielu domach przy ulicy Trinita Maggiore, San Pietro a Maiella, Forcella, Tribunali, San Sebastiano, oprócz kwiatów, zdobiących tarasy i balkony, zwieszały się festony z sukna o barwach jaskrawych, czerwone kołdry adamaszkowe, serwety żółte, dywany różnokolorowe, oraz od wielu lat przechowywane w kufrach i używane tylko w takich okolicznościach — sztuki różnobarwnej materyi.

Mieszkańcy tych pałaców wielkich, wysokich, smutnych, posiadających słońce tylko na tarasach, należą po większej części do starej arystokracyi kościelnej, bardzo pobożnej, ulegającej wpływom wszystkich wielkich i starożytnych kościołów okolicznych, jak: Gesu Nuovo, Santa Chiara, San Domenico Maggiore, San Giovanni Maggiore, La Pietra Santa, Sakramentek, Gerolomini, Sansevero, Donna Regina i w końcu wielkiej starej katedry, tak starej, iż opowiadają, że już w najodleglejszych czasach pogaństwa była świątynią Słońca.

W tych wielkich ponurych domach mieszka i mieszczaństwo bogate, starożytne, poważne, z surowością klasztorną zachowujące pobożne zwyczaje swych przodków-mieszczan.

Ludzie ci w tym pięknym dniu majowym powyciągali z kufrów przechowywane z kawałkami kamfory sztuki materyj jedwabnych, kupione w wielkiej fabryce, założonej w wesołej wiosce San Leucio przez Ferdynanda de Bourbon. Materye te przeznaczone były na uroczystości weselne i chrzty do ozdobienia kaplic prywatnych arystokratów i mieszczan.

Pobożne dusze, które wraz z krwią odziedziczyły wiarę swych przodków, żyją i umierają, nie wątpiąc ani na chwilę. Cała potęga ich wyobraźni przechodzi w wielki sen mistyczny, rozpoczynający się od katuszy piekła i kończący na zachwytach niebiańskich. Lękają się one czyśćca, jak gdyby na swych ciałach czuli płomienie — i z zamkniętemi oczyma, z niezachwianą nadzieją, oddają się marzeniom do ostatniej chwili życia.

Ci ludzie pobożni, obok róż majowych i bukietów z goździków ponsowych, pomimo braku słońca dla kwiatków kwitnących na ich balkonach, porozwieszali w ten dzień majowy adamaszki, oraz złotem i srebrem tkane materye.

Obfitość barw i zapach kwiatów nadały weselszy pozór ciemnym ulicom starych dzielnic miasta. Szczególniej położone przy placu San Domenico Maggiore starożytne pałace Sangro i Corigliano ubrane były we wspaniałe sztuki złotogłowia, aż do ukrytego w wąskiej uliczce starożytnego pałacu Sansevero, z ciemnym portykiem, osłoniętym jaskrawemi tkaninami.

Jak lud neapolitański świeżemi kwiatami w sklepach, na balkonach ubogich domów, porozrzucanych pomiędzy pałacami wielkich panów, na małych tarasach zawieszonych między niebem a ziemią, kwiatami w rękach kobiet, dzieci, wyrobników, nawet żebraków — obchodził święto wielkiego opiekuna Neapolu, — tak stara szlachta i bogate mieszczaństwo czciły ten dzień wystawą dziedzicznych, wydobytych ze skarbców tkanin jedwabnych.

Piękne są dni majowe w Neapolu, przy łagodnym powiewie orzeźwiającego powietrza, pod pięknem niebem lazurowem, nadającem nawet najciemniejszym uliczkom pozór wesoły; piękne są z powodu obfitości róż spotykanych na każdym kroku i zdawałoby się wykwitających w rękach kobiet i dzieci; w majowe dni przypada uroczystość cudotwórcy św. Januarego, w majowe dni relikwie jego niesione są z katedry, w której dotychczas złożone są w podziemiach, noszących nazwę „Succorpo e tesoro di San Gennaro“, do kościoła Santa Chiara, by święty, na prośbę ludu, raczył sprawić cud wrzenia krwi. Głowa biskupa Puzzuoli, odcięta toporem kata, w starożytnej masce złotej, ma na sobie złotą mitrę biskupią, wysadzoną drogiemi kamieniami. Drugą relikwią jest skrzepła krew w delikatnej ampułce kryształowej, ze źdźbłem słomy, zebrana przez świadków męczeństwa świętego biskupa.

Te to relikwie przenoszone są w dniu czwartym maja, z uroczystą procesyą z katedry do kościoła Santa Chiara.

Otóż, tego roku zdawało się, że kwiat wiary rozwinął się jeszcze wspanialej i cześć świętego patrona miasta objawiła się z siłą większą niż lat poprzednich, gdyż już od godziny drugiej po południu tłum zbitą masą zapełnił stare dzielnice miasta.

Święty January cieszy się ogromną popularnością w Neapolu — o wiele większą, niż rzeczywisty pierwszy biskup neapolitański, św. Aspreniusz.

A ktoby tam myślał o świętym Aspreniuszu? Jest on jednym z zapomnianych przez martyrologię, mającą również swych rozbitków w tem wielkim morzu zapomnienia.

Kościółek św. Aspreniusza, w uliczce dzielnicy Porto, jest podziemnym, a zstępuje się do niego po trzydziestu stopniach od poziomu ziemi. Kościółek to bardzo mały, ciemny, wilgotny i o jednym tylko ołtarzu. Z wyjątkiem kilku pobożnych i miłośników archeologii, nikt nie uczęszcza do niego.

San Gennaro zagarnął dla siebie wszystkie pokorne serca neapolitańskie i czczony jest więcej niż jakikolwiek święty, niż św. Anna, wszechmocna staruszka, niż św. Józef, patron dobrej śmierci, a prawie tyleż co Matka Boska Niepokalanego Poczęcia i Ojciec Przedwieczny.

Zresztą — był nawskroś neapolitańczykiem: urodzony w ciemnej i cuchnącej dzielnicy Molo Piccolo, w której — zdaje się — dotychczas żyją jego potomkowie, szczycący się takim przodkiem, pochodził z tego samego ludu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Drukarnia narodowa Stanisław Maniecki i Spółka — Lwów Kopernika 9.